Nr. 44 (1088). Warszawa, dnia 20 Października (2 Listopada) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 30 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

CHAMBERLAIN W EDYNBURGU

Najczynniejszy znieprawiacz duszy angielskiej, rzecznik bezwzględnego imperyalizmu, najzacietszy wróg Boerów i twórca wojny z d. 11 października 1899 roku, Robert Chamberlain, otworzył upusty swego krasomówstwa dnia 25 z. m. w stolicy Szkocyi. Nazbierało mu się dużo już tej sofistyki, tej piany logicznej, tych szumowin fałszu rzucanych na czystą prawdę, aby ją przysłonić: potrzebował więc podnieść śluzy na publiczność swoją, i wypuścić niecierpliwie rwące się potoki. Potrzebował przytem i wzmocnić sumienie publiczne nowem wygłoszeniem teoryi, wystawiającej gwałt jako konieczną obronę a programat Anglii w południowej Afryce jako niezbędny dla jej wielkości, dla samego nawet honoru, nakaz trzeźwego rozsądku i instyktu zachowawczego. Po wymknięciu się Bothy z obsaczenia tak mozolnie urządzonego przez dziesięćkroć przeważające siły, po rozstrzeliwaniach, wygnaniach ostatniej chwili — po całej tej niezdarności strategicznej i politycznej srogości, musiała wreszcie przyjść z pomocą, wypróbowana już sofistyka i po raz pierwszy użyta nienawiść, aby człowieka, który moralnie jako mąż stanu nic już do stracenia nie ma, wydobyć z błota, w które go wepchnęła jego polityka.

Stare, poczciwe kłamstwo i teraz stanowiło główną broń ambitnego ministra. Nie rząd angielski wyzywał Boerów, nie on, lekceważąc ich samotność, dopominał się zmian w organizacyi Transwalu z naciskiem i groźbą, nie on od tego nacisku i groźby rozpoczynał już kroki nieprzyjacielskie, nie on tolerował wyprawę Jamesona, nie on wywołał wojnę, ale Boerowie, przez swoje niezaspakajanie praw uitlanderów angielskich w Transwalu, przez samo wypowiedzenie wojny i przez zbrojenie się wtedy już, gdy Anglia o niczem jeszcze nie myślała tylko o równouprawnieniu swych obywateli, osiadłych w Transwalu. Zaczepione państwo angielskie musiało się bronić, a rząd jego spełnił tylko funkcyę tej obrony. Całe sprzysiężenie się Rhodesów a następnie Chamberlaina — i wszystkich imperyalistów angielskich, sięgających jeszcze r. 1895, w mowie edynburskiej poszło gdzieś na dno i spokojnie na niem leżało, kiedy minister kolonii wyrzucał na wierzch fale niegodziwości boerskiej. Wszystko to już było: nową w nowym popisie jest zapowiedź surowych środków przeciwko Boerom, środków sroższych jeszcze od dotychczas już używanych; nową też jest pogróżka rozbójnicza z zaciśniętą pięścią, z drżącą od gniewu wargą, posłana Irlandczykom. Współczujecie z Boerami, przeszkadzacie mi ich mordować, nazywacie moją pracę dla przyszłości Anglii—rozbojem: nauczę ja i was rozumu, przykroję i wam, uitlanderom, w krajach macierzystych każdego Anglika, prawa publiczne odpowiednio do waszych zasług.

Po raz pierwszy może z ust ministra angielskiego wyszedł taki cynizm nagi, nieobleczony w żaden z tych wybiegów, jakie w życiu politycznem, tam gdzie jest życie, zazwyczaj nakazuje sama przyzwoitość. Nie waha się Chamberlain wypisać na chorągwi swojej wręcz już barbarzyństwa, bo barbarzyńskimi muszą być te środki, któreby po dotychczasowych nastąpić mogły jako od nich surowsze.

Groźba posłana Irlandyi jest podwójną: nowe *cloture* w Izbie gmin i zmniejszenie liczby deputowanych, wysyłanych do Westminsteru. Jeżeli będą przeszkadzali w uchwałach, zacznie się znowu odbieranie im głosu, wysyłanie na nich *sergeants at arms* i wynoszenie ich z Izby. Jeżeli się nie poprawią w swych uczuciach dla Anglii, jeżeli całej tej zmowy kupiectwa i przemysłu angielskiego z rządem angielskim, który się nazywa sprawą transwalską, nie uznają za rzecz dobrą, piękną i wielką, jeżeli sobie serc irlandzkich nie powyrywają z piersi a nie wprawią nowych, angielskich, przez Chamberlaina opatentowanych, grozi im utrata kilkudziesięciu może pełnomocnictw poselskich — i to prędko, rychło, jeszcze przed nowymi wyborami. W tem już będzie rozum i rzetelność angielska, aby na tej *capitis deminutio* nie ucierpiał Ulster, prawowiernymi zasadzony oranżystami: całą stratę poniosą wrogowie Anglii. Istotnie, jeśli się weźmie stosunki liczebne samej ludności, Irlandya hojniej jest wyposażona w posłów, aniżeli Wielka Brytania. Na 4½ mil. w r. 1899 miała posłów 103; na 36 milionów W. Brytanii przypadało ich 567. W liczbie ogólnej z Irlandyi było 81 Irlandczyków, 22 Anglików. Reforma parlamentarna na Zielonej Wyspie w normalnym biegu rzeczy, bez zawieszania jej jako centnarowego ciężaru przy sprawie transwalskiej mogłaby być przez rozum stanu nakazaną; ale w warunkach, w jakich ją Chamberlain podejmuje, musi być przez sumienie każdego uczciwego człowieka potępioną. Jest tu moralny przymus, zastraszenie — szantaż z przyskoczeniem do gardła.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Nie zdążyły jeszcze zamilknąć echa wyboru do sejmu, kiedy odbył się wybór jednego posła z Krakowa do parlamentu, w miejsce zmarłego niedawno posła Weigla. O mandat współubiegało się tylko dwóch kandydatów — stańczyk Szukiewicz i demokrata dr. Ignacy Petelenz. Zwyciężył bardzo znaczną większością głosów kandydat demokratyczny, popierany przez wszystkie niezależne i mniej więcej postępowe żywioły. Pomimo że za Szukiewiczem stała zwarta falanga stańczykowska, że popierało go wpływowe Koło mieszczańskie, że agitowali za nim wpływowi macherzy kahału i antysemici razem z księżmi, że miał za sobą trzy dzienniki krakowskie — pomimo to wszystko otrzymał o 900 głosów mniej od dr. Petelenza. Jesteśmy więc świadomi dziwnego, zdawaćby się mogło nawet, niezrozumiałego zjawiska. Oto w grudniu 1900 r., podczas wyborów ogólnych do parlamentu, demokraci zwyciężają stańczyków w Krakowie na całej linii — bardzo znaczną większością głosów. W dziewięć miesięcy później, dnia 17 września 1901 r., przy wyborach do sejmu z kuryi miejskiej w Krakowie stańczycy zwyciężają demokratów. „Zwyciężyły żywioły umiarkowane, zwyciężył rozum polityczny“ — pisał *Czas* po tych wyborach. Minęły trzy tygodnie — i 10-go października demokraci biją na głowę stańczyków przy wyborach do sejmu. Co za niestałość przekonań panuje w Krakowie! — mógłby ktoś powiedzieć, nie znając sprężyn, dostarczających lub pozbawiających „żywioły umiarkowane“ zwycięstwa. Cały sekret powodzenia lub niepowodzenia kandydatów demokratycznych tkwi w tem, że przy wyborach do sejmu głosowanie w kuryi miejskiej odbywa się jawnie, przy wyborach zaś parlamentarnych — tajnie. Ten, kto podczas wyborów do sejmu nie idzie głosować w obawie zemsty żywiołów stańczykowskich lub nawet głosuje za wstrętnym dla siebie kandydatem, ten sam przy tajnych wyborach z całą stanowczością głosuje za opozycyonistą.

Z tego przykładu widać doskonale, jaką doniosłość posiada tajność wyborów. To też, gdyby demokraci galicyjscy (mam na myśli miejskich) stanowili poważne stronnictwo, nie zaś bezładną kupę niezdecydowanych luzaków, musieliby wytężyć wszystkie siły w celu zapewnienia sobie bodaj po miastach tajności wyborów. Ale na razie niepodobna od nich żądać jakiejkolwiek akcyi energicznej. Cała ich opozycyjność sprowadza się do wygłoszenia kilkunastu frazesów przeciwko stańczykom i rządowi w mowach kandydackich. Po wyborach wchodzą do Koła, posiadającego większość nawskróś reakcyjną i tam muszą siedzieć cicho, głosować tak, jak ta większość nakaże, lub, co najwyżej, opuszczać Izbę, ażeby nie głosować przeciwko własnym przekonaniom.

Powszechne zainteresowanie budzi sensacyjny proces, toczący się obecnie we Lwowie przeciwko pp. Witoldowi Regerowi, Szymonowi Witykowi i innym współpracownikom *Głosu Przemyskiego*, oraz redaktorowi *Kuryera Lwowskiego* — Henrykowi Rewakowiczowi i innym. Chodzi o cały szereg artykułów *Głosu Przemyskiego*, przedrukowywanych następnie w innych pismach krajowych. Artykuły te piętnowały w bardzo dosadny sposób niesłychane wybryki wojskowości austryackiej, tak względem cywilnych, jak i żołnierzy. Należy sobie uprzytomnić rolę wojskowości w życiu Galicyi, ażeby zrozumieć źródła tej powszechnej sympatyi, jaką się cieszy znany agitator przemyski, Witold Reger, który wypowiedział stanowczą i energiczną walkę nadużyciom i wybrykom wojskowości.

Stosunki wewnętrzne w pułkach austryackich są poprostu skandaliczne. Znęcanie się oficerów nad żołnierzami dochodzi tam do granic ostatecznych. Dość powiedzieć, że w wojsku austryackiem dotychczas istnieją — nie w formie nadużyć, ale całkiem urzędowo — tortury iście średniowieczne. Stąd też wypadki samobójstw są tam ogromnie częste. Na zewnątrz, w stosunku do ogółu mieszkańców kraju, władze wojskowe występują wprost wrogo. Oficerowie-Niemcy i zniemczeni Czesi (zwłaszcza ci są znienawidzeni) pozwalają sobie na codzienne niemal obrażanie uczuć narodowych ludności, wśród której żyją, dopuszczają się gwałtów formalnych na spokojnych obywatelach (że przypomnę tu jedną z licznych awantur tego rodzaju — znaną sprawę dr. Libermana w Przemyślu) itd.

Otóż *Głos Przemyski* zajął się energicznem poskromieniem buty wojskowej, z jednej strony drukując listy żołnierzy i ich rodzin, skarżących się na nieludzkie postępowanie oficerów, a z drugiej — nie przepuszczając żadnemu wybrykowi tych ostatnich. Doprowadziło to do wielu starć *Głosu Przemyskiego* z władzą wojskową i sądową. Główny inicyator walki z nadużyciami wojskowemi, Witold Reger, został za pomocą różnych machinacyj oddany do wojska, pomimo kilkakrotnych orzeczeń lekarskich, że jest najzupełniej do służby niezdatny. Już miał służbę wojskową ukończyć (jako rezerwista), kiedy na podstawie denuncyacyi kłamliwej skazano go na pół roku twierdzy. W obecnym procesie występuje jako więzień.

Sam proces odbywa się w bardzo dziwnych warunkach. Na rozprawę, która, jak to z góry można było przewidzieć, miała potrwać co najmniej 2—3 tygodni, przeznaczono malutką salkę długą 15, a szeroką 8 kroków, wobec czego trybunał, oskarżeni, przysięgli i obrońcy tłoczą się jak śledzie w beczce. Wojskowość podczas procesu jest tendencyjnie brana w obronę przez prokuratora, trybunał odmawia za każdym razem propozycyi oskarżonych przeprowadzenia dowodu prawdy, odrzuca żądania zawezwania świadków, mogących zeznawać na niekorzyść wojskowości itd. Zachowanie się komendy korpusu przemyskiego jest poprostu komiczne. Oświadcza ona np., że nie posiada adresów oficerów ani żołnierzy, o których w procesie chodzi. W rzeczywistości każda jednostka, „przynależna“ do wojska, natychmiast po zmianie miejsca pobytu obowiązana jest zameldować się u władz miejscowych, a te zaraz muszą zawiadomić o tem władze wojskowe. Czyżby i na wypadek mobilizacyi wojskowość twierdzy przemyskiej nie przypomniała sobie adresów swych oficerów? Jeden z obrońców, dr. Liben, postawił wniosek, aby wezwać jeszcze raz komendę do dostarczenia niezbędnych adresów i równocześnie wnieść zażalenie na nią do ministeryum wojny.

Podczas rozprawy, pomimo usiłowań prokuratora, wychodzi na jaw cały szereg faktów, kompromitujących przemyską władzę wojskową. Tak np. kazano żołnierzom, w tornistrach i płaszczach, skakać przez metrową belkę; jeśli zaś który nie mógł przeskoczyć, to mu kazano za karę biedz „laufschrit“ itd. Przy tem skakaniu pewien żołnierz dostał przepukliny, inny złamał rękę, jeszcze inny rozbił głowę itd.

3)

Waryat... czy...?

Wspaniały lokaj poszedł „oznajmić,“ a ksiądz Jan wodził wzrokiem po ciemnych obiciach ścian, błyszczących taflach posadzki, dębowych meblach jadalni, jedwabnych portyerach i miękich poduszkach salonu. Po chwili ukazał się gospodarz. Jego piękna postać tak harmonizowała z tem wykwintnem otoczeniem, że ksiądz Jan zrozumiał odrazu trafność przydomku, nadanego dziekanowi w okolicy: ksiądz obywatel!

Do wrodzonej gościnności gospodarza dołączyła się jeszcze chęć zaimponowania i dobroduszna, a filuterna zemsta za te kluski w polewce, które mu wtedy nie chciały leźć do gardła. To też dziś prześcigał się w uprzejmości ugoszczania.

Obiad był suty, podania wykwintne, wina stare.

Ksiądz Jan najedzony tak, jak bywał tylko raz do roku u siostry na Wielkanoc, przeszedł z gospodarzem na czarną kawę do salonu.

Siedzieli na miękich fotelach przed filiżankami czarnego gorącego napoju. Dziekan palił wonne cygaro i, puszczając od czasu do czasu dymek niebieskawy, mówił niskim, miłym barytonem:

— Widzisz, mój drogi, to co ty, ja i my wszyscy mamy na utrzymanie—to przecie nędza. Z tego wyżyć nie sposób! Nie mówiąc już o domu Bożym, który utrzymać porządnie jest naszym obowiązkiem, ale i księża potrzebują pewnych wygód, pewnego komfortu. To, co dawniej było dostatecznem, dziś zadowolić nie może. Ludziom się wydaje, że ksiądz może mieszkać i żyć jak parobek! Ale teraz wszystko się zmieniło! Teraz i księża są inni! Potrzebują innego otoczenia! innego życia! Trudno. Wyższe wykształcenie pociąga za sobą i wyższe wymagania.

Przełknął łyk kawy, milczał czas jakiś, a potem mówił jakby w dalszym ciągu swej myśli:

— Zapewne, ksiądz Marek świętym był człowiekiem. Nic wymagał nic nigdy dla siebie. Była to wygórowana bezinteresowność i szlachetność. Słyszałem, że gdy umarł, to tak nic nie zostało, iż parafia pochowała go własnym kosztem. Wszystko to prawda, a jednak... nie należało tak zaniedbywać interesów kościoła! Nie może sobie ksiądz wyobrazić, ile tu pracy trzeba było włożyć, aby jako tako uporządkować.

Obejrzał się z lubością dokoła.

— Teraz to przynajmniej żyć tutaj można.

Znowu się zamyślił, a w oczach ukazał się wyraz pewnego smutku, lekkiej jakby melancholii, z którą było mu bardzo do twarzy. Powoli też i bardzo cicho mówił dalej:

— Bo i cóż taki ksiądz ma w życiu, jeżeli i mieszkania nie ma mieć ludzkiego? Wyrzeka się wszystkiego! pracuje! Niechże przynajmniej po pracy dach ten będzie mu miłem schronieniem.

Ksiądz Jan zapomniał snać o swej filiżance. Stała przed nim prawie pełna z zimną już całkiem kawą. Oczy miał spuszczone, a z wyrazu twarzy nic nie można było wywnioskować. Milczenie trwało pewien czas, nareszcie ksiądz Jan się odezwał.

— Pięknie tu bez kwestyi, ale to dużo musiało kosztować.

— Zapewne, że kosztowało! Meble i urządzenie domu jest moje, ale przebudowanie, założenie ogrodu, wszystkie porządki wzięły sporo grosza. Parafianie złożyli się na to.

— Parafianie?

— Naturalnie. Zawiązali syndykat i postanowili, że każdy obowiązany jest składać rocznie dziesięć kopiejek od dziesięci-

Porucznik Kaiser rozkazał pewnemu żołnierzowi skakać, a gdy ten nie mógł wykonać rozkazu, kopnął go i rzucił nim tak gwałtownie, że ten złamał nogę i krwią się oblał, wskutek czego musiano go jako kalekę całkowicie zwolnić ze służby wojskowej. Porucznicy pokpiwali sobie z padających żołnierzy i nazywali ich bydłem. Naczelnik komendy przemyskiej pomiatał władzami politycznemi i autonomicznemi, nietylko tolerował, ale wprost pochwalał wybryki wojskowych względem cywilnych.

Proces jeszcze nie jest ukończony. Prawdopodobnie podsądni będą uwolnieni od wszelkiej odpowiedzialności, jak to się już stało w kilkudziesięciu (literalnie!) procesach, wytoczonych różnym osobom, stojącym w bliższym lub dalszym stosunku do *Głosu Przemyskiego*. Dowodem, jaką sympatyą cieszą się oskarżeni w tym procesie, a zwłaszcza Witold Reger, jest żywiołowa manifestacya w teatrze lwowskim podczas przedstawienia „Czerwonej togi.“ Mianowicie, kiedy pani Stachiewiczowa w roli żony *Etchepara* zwróciła się do p. Kamińskiego, grającego rolę sędziego śledczego, ze słowami: „Na podstawie nieuzasadnionych podejrzeń więzicie i zasądzacie ludzi!“ — z galeryi dał się słyszeć donośny głos: „Tak jak Regera!“ W parterze zawołał ktoś: „Wiwat Reger!“ co cała publiczność przyjęła burzą oklasków.

Bez względu na wynik procesu, wojskowość jest nim grubo skompromitowana. Podobno na jednem z pierwszych posiedzeń parlamentu będzie wniesiony szereg interpelacyj do ministra wojny w sprawie nadużyć wojskowości w Galicyi. W parlamencie będzie też poruszona sprawa zasądzenia Witolda Regera. Po za tem sesya parlamentu przyniesie mnóstwo interpelacyj, dotyczących władz administracyjnych w Galicyi. Naturalnie wybory galicyjskie, jak zwykle, dadzą obfity materyał posłom opozycyjnym do zainteresowania sfer rządzących.

Prasa stańczykowska niewątpliwie będzie biadała nad brakiem „uczuć narodowych“ opozycyi, która pierze brudy krajowe w Wiedniu, wobec obcych. Tymczasem właśnie sfery, których opinię wyraża ta prasa, za żadną cenę nie chcą dopuścić do sejmu krajowego prawdziwych opozycyonistów i o reformie wyborczej ani myślą. Wobec tego bardzo szerokie masy ludności, pozbawione praw obywatelskich przy wyborach do sejmu, jedyną ucieczkę widzą w „obcym“ Wiedniu, w parlamencie, posiadającym bodaj piątą kuryę. Ciekawe jest to, że najbardziej demokratyczne żywioły mieszczańskie, mówiąc o reformie wyborczej przy wyborach sejmowych, niewolniczo wzorują się na Wiedniu i chcą Galicyę również obdarzyć V-tą kuryą.

Zresztą i tę V kuryę, jak również i głosowanie bezpośrednie i tajne w gminach wiejskich, Galicya otrzyma nie wcześniej, aż je będą posiadały wszystkie inne prowincye Austryi. Do tego zaś jeszcze bardzo daleko. Mogą więc obecnie stańczycy spać spokojnie, bo się nad nimi strzecha nie pali, jak powiedział w swoim czasie Wojciech hr Dzieduszycki w sejmie.

Skończyły się wakacye i roje młodzieży zapełniły gmachy uniwersyteckie Krakowa oraz ruderę, mieszczącą dotychczas uniwersytet lwowski. Rzecz charakterystyczna, że „Koło“ polskie, wysługujące się każdemu rządowi, dotychczas jeszcze nie mogło wyżebrać funduszów na wybudowanie nowego gmachu dla uniwersytetu lwowskiego, mieszczącego się w budynku, jakiego nie posiada chyba żaden uniwersytet na świecie.

Z okazyi inauguracyi nowego roku szkolnego studenci Rusini, których liczba stale się powiększa, urządzili wiec i na nim uchwalili szereg słusznych żądań, dotyczących egzaminów w języku rusińskim, druków rusińskich do immatrykulacyi itd. Domagano się również założenia uniwersytu rusińskiego we Lwowie albo przynajmniej, na razie, utworzenia szeregu katedr z językiem wykładowym rusińskim przy uniwersytecie polskim Jak wiadomo, uniwersytet lwowski posiada już kilka takich katedr na wydziałach: filozoficznym, prawnym i teologicznym. Sił naukowych rusińskich jest coraz więcej, więc wytworzenie stopniowo drugiego uniwersytetu we Lwowie nie byłoby zbyt trudnem. Niewątpliwie w bliższej czy w dalszej przyszłości Lwów stanie się na wzór Pragi miastem o dwóch uniwersytetach, co może wyjść tylko na pożytek obydwóch narodowości, zamieszkujących Galicyę.

Daleki.

DWA KONGRESY KOBIECE.

Ruch kobiecy w Niemczech przeprowadzając klasyfikacyę z gruba, można podzielić na dwa obozy: postępowy i społeczny. Popełniłby błąd jednak ten, kto by chciał do kategoryi tych przyłożyć łokieć polityczny. Zachowawca bowiem z krwi i kości nie uznaje wogóle roszczeń kobiecych. Białogłowa powinna być cnotliwą, cichą i słodką, a skoro nie posiada trójlistka wspomnianych zalet, przypomina się jej zasadę „Taceat mulier in ecclesia“ co w przetłomaczeniu na klasyczną polszczyznę znaczy tyle co „Nie tędy droga, pani!“ Dalej szczerozłoty niemiecki liberał, a więc taki, co ma ręce i gors usiane brylantami, co kupuje swej córce za 100 tysięcy marek lejtenanta lub radykalnego docenta filozofii, co przedewszystkiem dlatego jest liberałem, iż kpi z konserwatystów, taki światły mąż postępu za rdzeń ruchu kobiecego uważa kwestyę damską. Nie ma on nic przeciwko temu, aby jego ukochana córka, skoro jej obrzydły bicykl, lawn-tenis, stroje, jazda do wód i półgłówkowie mizdrzący się do jej posagu, aby córka ta słuchała wykładów estetyka Eryka Szmidta, a nawet doktoryzowala się, słowem aby coś, jak ona się zabawnie wyraża, robiła. Ale po za tem niema żadnej kwestyi kobiecej. Po za kordonem tych zrozumiałych i wcale niegłupich dążeń istnieją już tylko wybryki, fochy, waryactwa i idyotyzmy. Otóż, jeśli te dwa przedstawione tu probieże polityczne zastosujemy do ruchu kobiecego, to stanowczo wszystkie trzy organizacye, obejmujące około stu tysięcy członkiń, dawno już wyszły ze stadyum „zdrowego rozsądku.“ Jeśli ustawimy jednym rzędem wszystkie trzy grupy, to przekonamy się, iż dzielą je właściwie tylko półcienie i półtony programowe i teoretyczne. Grupa zachowawcza, t. zw. „Powszechny związek kobiet niemieckich“ stoi przedewszystkiem na stanowisku „chleba powszedniego“ i filantropii. Kwestya zawodu kobiecego figuruje na pierwszym planie, a ponieważ tu idzie przedewszystkiem o „damy,“ więc rzecz zrozumiała, iż obóz ten gorąco popiera dążenie kobiet do wyższego wykształcenia. Ze względu jednak na to, iż „inne czasy — inne ptaki, inne ptaki — inne pieśni,“ stary „Związek“ głosząc hasła, które dziś ucho-

---

ny. Dzierżawcy dają połowę. Zdaje się, że bagatela, a gdy obliczono ilość ziemi, to pokazało się, że będzie rocznie około pięciu tysięcy.

— Ależ to olbrzymia suma!

— Aby jeszcze wystarczyło, mój drogi! Aby wystarczyło! — kiwał dziekan głową.

Gość cały utonął w myślach, a gospodarz mówił w sensie komentarza:

— Czy to dla mnie oni to robią? Powiedziałem im przecie, że teraz sami będą mieli wygodę. Czy na odpust się zbiorą — to jest gdzie zasiąść do obiadu. Czy w niedzielę po nabożeństwie—jest gdzie wypalić papierosa i pogawędzić z sąsiadami jakąś godzinkę.

Rozwijał w dalszym ciągu swe projekty: I ksiądz Jan i ksiądz Antoni z Nurtowic powinni pójść za jego przykładem. Dawno nosił się z myślą pozawiązywania syndykatów w każdej parafii. To jedyna rada! jedyne wyjście z ciężkiej pozycyi!

Mówił jeszcze długo z właściwym sobie poważnym wdziękiem. Pewnym był, że przekonał gościa, wychodząc z tej zasady, że milczenie jest twierdzeniem, a ksiądz Jan milczał uparcie.

Oczy miał spuszczone, a na bladej twarzy dziwny wyraz niby przymusu, niby zakłopotania. Wyraz ten nie ustąpił mu już z rysów do końca wizyty. Pożegnał się, wyjechał i, jeszcze siedząc na bryczce, snuł cicho dalszy ciąg poprzednich myśli.

Z dużej drogi zjechali na mniej ujeżdżoną. Koła zaczęły skakać po grudzie i jadący ocknął się z zadumy.

Rozejrzał się w około.

Przed nim, trochę na prawo, leżała malutka Jabłonka, tworząc z tej strony ostatni kraniec parafii kurjanieckiej. Dzierżawca Dąbrówki był jego szwagrem, ale ksiądz rzadko tu gościł i dziś byłby minął wioskę, gdyby nie troska o siostrę, która od tygodnia już bawiła w mieście z powodu choroby. Dąbrowski wrócił wczoraj stamtąd i księdzu szło o wieści.

Spalona na bronz twarz szlachcica rozjaśniła się na chwilę przy powitaniu. Wnet potem jednak zachmurzyło mu się czoło na nowo i troska zwykła wyzierała z małych szarych oczów, gdy opowiadał:

— A cóż! powiedzieli to samo co i nasz doktór. Trzeba wygód, wypoczynku, spokoju. Wygody to ona ma niby w domu, ale skąd wziąć spokoju?

Ładnie zarysowane usta, pod wąsem płowym w dół opuszczonym, zacisnęły się z wyrazem bezradnego smutku.

— A dzieci?—pytał ksiądz.

Ojciec znów się rozchmurzył.

— A rosną, smarkacze! Tęgie łobuzy porobiły się z nich.

— Starszego uwolniono, a za drugiego trzeba płacić. Prosiłem dyrektora, żeby poczekał. Może jak wymłócę tę nieszczęsną tegoroczną pszenicę, to chociaż na wpis wystarczy.

Ksiądz rozwiązał rożek chustki i wyjął coś, owiniętego w papier.

— Zebrałem tu trochę pieniędzy. Mnie to zupełnie na nic, a wam może wystarczy na szkołę.

Oczy szlachcica zaszkliły się pod powiekami.

— Bóg zapłać, księże bracie! Oddam jak tylko będę miał.

— Nie trzeba! ja nie potrzebuję! — bronił się żywo ksiądz Jan.

— Oddam!. Jak mi Bóg miły. Czy to ja nie wiem, że i u was nie przelewa się?

Mówili jeszcze czas jakiś o wspólnych troskach i kłopotach, a gdy już gość zabierał się do drogi, Dąbrowski zapytał:

— No, a cóż tam wizyta? — uśmiechał się pod wąsem—Szyki mospanie!

— Bardzo ładnie—powiedział proboszcz.

— Pewnie, że ładnie? Ale co to te „ładnie“ kosztuje! Toż to tysiące, tam panie, wsadzili! Gdyby tam jeszcze brali od takich książąt z Kurjańca, od takiego pana Hurkowskiego z Nurtowic, to niechby tam! Ale jak panowie z syndykatu ściągnęli w tym głodnym roku po sto rubli ode mnie

dzą wprost za utarty pewnik, nucą obok tego pocichu i te nowe pieśni. Druga grupa, „Związek postępowych stowarzyszeń kobiecych,“ więcej liczący się z potrzebami czasu, mniej związany skrupułami konwencyonalnymi, a przedewszystkiem nie podszyty tchórzostwem, wykonywa te same „nowe pieśni“ o półtonu wyżej. Dlatego gdy zestawimy zjazdy obydwu odłamów, które obradowały w ostatnich dwu tygodniach, to zobaczymy, iż po części obracały się one w tem samem kole kwestyj, ale tylko po części, gdyż kongres postępowy dotykał niekiedy rzeczy tak drażliwych, tak „radykalnych,“ iż zacne matrony starego kierunku mogłyby tylko o nich mówić ze spuszczonemi oczami lub wielkim niepokojem. Zresztą krańcowość przeczyłaby ugodowemu usposobieniu staruszek, które bynajmniej nie wywołują świata do boju i chcą „iść ręka w rękę z płcią drugą.“ W każdym razie porządek dzienny obydwu kongresów przekona nas, iż czasy ogromnie się zmieniły, a kwestya kobieca obejmuje dziś cały system zagadnień etycznych i społecznych, wyjętych z rozmaitych dziedzin życia ludzkiego i schodzących się w jednem ognisku, które nazywamy sercem kobiecem.

Pierwszego dnia, „Związek“ zachowawczy roztrząsnął trzy sprawy ważne. Po pierwsze, zdawano sprawę z biur porady prawnej, założonych przez „Związek“ dla kobiet. We wszystkich sprawach, dotyczących sporów małżeńskich, alimentów, komornego i płacy zarobkowej, biura udzielają wskazówek, nacechowanych znajomością rzeczy. Punkt drugi obejmował reformę ochronek dla dzieci. Referentka zaznaczyła, jak dalece te przybytki pedagogii dobroczynnej rozmijają się z poglądami i nastrojem naszego wieku. W tych zakładach bowiem wychowanie odbywa się masowo i hurtownie; są to swego rodzaju koszary i ogniska tresury, gdzie tłumi się wszelkie cechy indywidualne dziecka. Przedewszystkiem więc trzeba, krocząc śladem nowego kierunku pedagogicznego, rozbić ochrony dotychczasowe na małe grupy „rodzinne.“ Tu dopiero można będzie zastosować się do każdej duszyczki, tu da się hodować i pielęgnować ją tak, jak wymaga tego jej odrębność. Nadto, ażeby dzieci oderwać od grząskiego pod względem moralnym gruntu wielkomiejskiego, zaleca się zakładanie kolonij w duchu opisanym na wsi, co zresztą już praktykuje się w wielu miejscowościach niemieckich. Wreszcie zdawano sprawę z postępów ogrodnictwa, jako zawodu kobiecego. Drugi dzień obrad był poświęcony obok kwestyi indywidualizacyi w wychowaniu, t. zw stowarzyszeniom spożywczyń, po raz pierwszy założonym w Ameryce. Prelegentka słusznie podkreśliła, iż instytucya nowa opiera się na potędze społecznej publiczności kupującej. Każdy kupiec jest zależnym od swej klienteli, a ta, korzystając z tego, może wywrzeć wpływ i nacisk na sprzedawcę. Tak zaprowadziły Amerykanki „białe listy,“ czyli spisy. polecające firmy humanitarne. Jest to rejestr tych sklepów, które na żądanie publiczności damskiej wprowadzają te lub inne reformy na korzyść swego personelu. W ten sposób wprowadzono siedzenia dla sklepowych, wczesne zamykanie zakładów, urlopy, wyższą płacę itd. Kupujące damy, jako zorganizowana korporacya, mogą stać się czynnikiem dobroczynnym pod względem społecznym. Tak przedstawia się w ogólnych zarysach „Etyka spożywcy,“ stopniowo przybierająca dziś już rozmaite odmiany.

Trzeci dzień obrad, jeśli pominiemy postanowienie o konieczności uzupełnienia inspektoratu fabrycznego asystentami kobiecymi, stał w znaku kwestyj służących. Posiedzenie dość burzliwe było widownią starcia dwu obozów: jeden składał się z flagellantek, bijących się w piersi i publicznie stwierdzających winę pań: drugi, przeciwnie, umywał ręce i zaprzeczał wszystkiemu. Po środku rozłożyły tabór swój strusie, chowający głowę do piasku. Referentka przypomniała zasadę J. J. Rousseau, iż człowieka robi złym społeczeństwo; za rady i przywary służących, należy przeto zrobić odpowiedzialnym egoizm społeczny, przedewszystkiem zaś zachowanie się pań. Przeciwko temu zaprotestowano gorąco; zwłaszcza chciano panie uwolnić od zarzutu, jakoby swem postępowaniem sprowadzały służące na manowce rozpusty. Obrony te jednak na razie chybiły celu, gdyż stwierdzono na mocy sporządzonej w tej sprawie ankiety, iż $^2/_3$ wszystkich służących, które stoczyły się po stromej pochyłości nierządu, zostały pchnięte na nieszczęsną drogę po raz pierwszy w domu swych państwa.

Tak więc przedstawienie kongresowe zostało zakończone akordem społecznym, co prawda nie dość silnym i na pół platonicznym. Zakończenie to świadczy jednak, iż do starych worków haseł uznanych wlewa się dzisiaj świeże wino nowych prądów.

To też drugi ze wspomnianych obozów kobiecych, bardziej postępowy, odrazu zamanifestował swój program, poświęcając pierwszy punkt postępu kobietom pracującym w wielkich zakładach przemysłowych. Zaznaczymy nawiasem, iż prezydentka kongresu, pani Caner, piastuje urząd przewodniczącej w stowarzyszeniu panien sklepowych, liczącem kilkanaście tysięcy członkiń. Przed dwoma laty referat odnośny wygłosiła wyrobnica, należąca do liberalnego związku fachowego typu Hirsch-Dunckera. Obecnie zastanawiano się nad kwestyą zrzeszenia zawodowego kobiet i zakładania klubów dla niewiast pracujących. Dalej wyłożono program opieki, którą należy rozciągnąć nad kobiecemi więźniami. Rząd niemiecki przyjął bardzo przychylnie pomysł zaprowadzenia nadzorczyń więziennych. W kwestyi prostytucyi zabrał głos abolicyonista, prof. Flesch. Wykazując bezużyteczność dozoru policyjnego nad prostytucyą, mówca spodziewa się zmalenia nierządu tylko po reformach społecznych i koedukacyi. Panna Stöcker, która obszerniej rozwodziła się nad koedukacyą, zwróciła przedewszystkiem uwagę na fakt, iż od dwustu lat wykształcenie kobiece stopniowo podnosi się do poziomu systemu, stosowanego do mężczyzn. Obecnie znajdujemy się w okresie, kiedy zasada różniczkowania pedagogii podług płci nie wytrzymuje krytyki. Przeciwnie, pozostaje obecnie zrobić ostatni krok stanowczy i na podobieństwo uniwersytetów wspólnych zaprowadzić podobnież, jak się to już dzieje w Ameryce, szkoły dla chłopców i dziewcząt. Reforma ta odbije się zbawiennie na poziomie umysłowym kobiety, a jednocześnie wpoi mężczyznie szacunek dla niej. Najwięcej zyska na tem moralność. Doktór prawa, panna Raschke, przedstawiła obraz działalności 25 istniejących w Niemczech biur obrony prawnej dla kobiet. Do tych instytucyj bezpłatnych i będących pod kierownictwem niewiast, kobiety garną się bardzo chętnie, gdyż wiedzą że znajdą tu pomoc siostrzaną, opartą na szczerem współczuciu. Biura nietylko udzielają informacyj i rad, nietylko godzą zwaśnione strony, ale nadto w razie potrzeby prowadzą proces. Kierowniczki biura we wszystkich kwestyach zwracają się do wytrawnych prawników, ale po upływie pewnego czasu nabierają doświadczenia i mogą załatwiać pewne sprawy na własną rękę. Instytucye

---

i od pani Bratkowskiej z Berezówki i jeszcze co roku po pięćdziesiąt rubli płacić każą, to już trochę za ciężko! Tego i Pan Bóg nie wymaga.

Ksiądz, milcząc, włożył płaszcz na ramiona i, wyściskany przez krewnego, wyjechał.

Za gruntami Jabłonki zaczynała się jego parafia.

Był to kraj znany i kochany.

Po wszystkich tych drogach i drożynach jeździł wielokrotnie po kolędzie i do chorych.

Jesienne słońce zapadło za wzgórze. Niebo na zachodzie stało całe w czerwonych blaskach, a na ziemię schodziły powoli cienie. Tylko ostatnie promienie, ślizgając się ukośnie, złociły obłoki kurzu, podnoszącego się pod kopytami końskiemi na drodze.

Zmrok zapadał, gdy wjeżdżali do miasteczka.

Pod murem cmentarza stała nizka chatka. Mijać już ją mieli, gdy nagle ksiądz Jan przypomniał snać coś sobie, bo zatrzymał konie i wszedł do izby.

— Majewska, a czemu to wasz chłopiec drugi już tydzień nie był w szkole?

Kobieta zwróciła się od pieca, przy którym była zajętą i odpowiedziała:

— Niema w czem, proszę księdza. Wydarł się do reszty.

— A niech przychodzi w czemkolwiek— mówił żywo. — Szkoda czasu, moja kochana!

— Rozumie się, że szkoda — zaczęła płaczliwie — ale już w tych łachmanach posłać go nie sposób! I zimno i ludzie się śmieją.

Wskazała ręką w kąt izby, gdzie przykucnął dziesięcioletni może malec, który widząc, że go ksiądz spostrzegł, wyszedł i zbliżał się do ucałowania ręki. Dziecko było ładne i zgrabne, ale strój wiele pozostawiał do życzenia. I kurtka, i spodnie przedstawiały wspaniałą kolekcyę łat i dziur.

A kobieta mówiła dalej:

— Naprawiałam póki mogłam, a teraz to i łaty niema do czego przyszyć.

Ksiądz ogarnął wzrokiem chłopaka i, chociaż mało wymagający pod względem stroju, widocznie osądził, że kostyum nie był do wyjścia, bo postał chwilę w progu i bez jednego słowa wyszedł z chaty.

Ale nie poszedł do bryczki. Minął ją i przez uchyloną furtkę wszedł na cmentarz.

Z kapeluszem w ręku dążył szybko między drzewa, a gdy stał już w gęstwinie brzóz i świerków, rzucił kapelusz i płaszcz na ziemię, rozebrał się z sutanny, poczem, wciągnąwszy okrycie, pozapinał szczelnie guziki, a sutannę zwinął w kłębek i spiesznie poszedł do chaty cmentarnika.

Majewska stała właśnie, twarzą odwrócona do stołu, gdy drzwi uchyliły się za jej plecami, coś długiego przeleciało jej ponad głową i głos księdza Jana ozwał się z progu:

— Maciel Uszyjcie ubranie chłopcu niech przychodzi!

Kobieta nie odrazu zrozumiała. Z oczami wytrzeszczonemi ze zdziwienia podeszła do stołu, na którym leżała nowa sutanna proboszcza. Nakoniec rozjaśniło jej się w głowie. Wielka fala wdzięczności i rozrzewnienia zalała jej piersi, z głośnym płaczem wypadła za drzwi chaty.

Ale proboszcza już nie było.

Tylko na zakręcie ulicy, ponad tumanem pyłu i poręczą bryki, mignął jego czarny kapelusz.

. . . .

Ściemniło się już zupełnie, ale w duszy księdza Jana gorzał jasny znicz.

Całe to proste serce wypełniały: wielka miłość i wielkie współczucie.

M. Z.

KONIEC.

te stają się prawdziwą dźwignią postępu kobiecego, albowiem rozwijają w płci bezbronnej poczucie prawa i tłumią w nich potulność i apatyę społeczną. Kongres postanowił uwieńczyć organizacyę biur założeniem instytucyi centralnej w Berlinie, która będzie pośredniczyła w wymianie doświadczenia pomiędzy niemi.

Wreszcie na zakończenie kobieta prawnik, panna dr. Augspurg, usiłowała rozwiązać pytanie, czy kobieta niemiecka powinna interesować się lub zajmować polityką? Bojowniczki ruchu postępowego — zdaniem mówczyni — już dawno zgodziły się w teoryi na konieczność rozszerzenia praw kobiety, jako obywatelki państwowej, a jednak zgodnie ze swem stanowiskiem „damskiem,“ nie raczyły w sprawach natury ogólniejszej wyjrzeć ze swej skorupy obojętności. Tymczasem tylko polityka może rozszerzyć widnokrąg zainteresowania kobiety. Tylko na tej drodze zacznie ona zastanawiać się nad zagadnieniami kultury i historyi, badać ustrój swego państwa i kraju, domyślać się zadań administracyi, rządu i gminy. Powinna tedy zgłębiać zadanie prawa, metodę ekonomii i statystyki, a istota traktatów handlowych i międzynarodowych, decydujących o bycie i dobrobycie jej ojczyzny, przestanie być dla niej księgą o siedmiu pieczęciach. Przyglądając się działalności rozmaitych stronnictw, badając ich stanowisko w każdej z kwestyj bieżących, uczęszczając na zebrania publiczne, zwoływane z tej lub innej okazyi, biorąc wreszcie udział w wywiązujących się rozprawach, kobieta będzie mogła z czasem wyrobić sobie własny pogląd na rzeczy. Wtedy dopiero stanie się czynnikiem rozwoju historycznego i będzie mogła o sobie powiedzieć: „Jestem człowiekiem i nic ludzkiego nie jest mi obcem.“

H.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Self help-men.

Skąd to pochodzi, że Europa coraz bardziej rozczula się dla Boerów i coraz silniej nienawidzi Anglików? Sentymentalizmu w polityce ona nie zna, widokiem nieszczęścia się nie wzrusza, na krzywdy klątew nie rzuca, więc skąd się w niej wzięła taka powszechna, ciągle rosnąca i głęboka sympatya dla nieznanej garści chłopskich kolonistów w Afryce południowej, o których jeszcze przed trzema laty nie wiedziała lub nie pamiętała? Etyka zapewnia, że na wywołanie tej sympatyi wcale nie wpływała.

Wątpię bardzo, czy na stu ludzi jeden posiada dokładną świadomość swoich myśli i uczuć. W ogromnej większości dusz wysuwają się one z ciemnej ich głębi, nieoświetlonej najsłabszym promieniem samowiedzy, przelewają się w słowa lub wcielają w czyny, nie objaśniając ani swojego początku, ani swojego kierunku i celu. Pewnego dnia pojawiają się gromadnie jak muchy, które nagle gdzieś się wylęgły z niewidzialnych jajek i nagle znikły. Dlaczego w jednym roku owoce drzew były słodsze a zboża plenniejsze, niż w drugim — usiłujemy wytłomaczyć, ale to nasze tłomaczenie jest w znacznej części oszukiwaniem własnej ciekawości. Poprostu coś się w naturze stało, co było źródłem tych zjawisk, rośliny poczerpnęły z ziemi i z powietrza jakieś wpływy, które wytworzyły różnicę. Podobnie dzieje się z ludźmi. Przychodzi czas, w którym inaczej myślą i czują, niż przedtem, a chociaż nieraz dostrzegamy przyczynę zmiany, zwykle łudzimy się ścisłością naszej obserwacyi. Takich wojen, może tylko mniej bohaterskich, jak anglo-boerska było w przeszłem stuleciu wiele, a Europa przyglądała im się z obojętnością świadka pogoni kucharza za uciekającem kurczęciem, które on chce złapać i zarznąć. Zwykły wypadek w gospodarstwie politycznem. Skądże dziś łzawa czułość i piorunująca zgroza? Czyżby Europa zmieniła się i uwrażliwiła na to, co dawniej wcale jej nie wzruszało? Niewątpliwie. Co na nią oddziałało w tym względzie — wykazywać tu nie będę i nie mogę. Powiem ogólnie, jak rolnik: przygrzewało słońce— panowały ostre mrozy—spadały obfite rosy—wiały zimne lub gorące wiatry — a skutkiem tego wszystkiego stało się to, co się stało. Najwyraźniejszym objawem tego wyniku jest szeroko rozpostarta odraza do pewnego typu zwycięzców w walce o byt, który dotąd jej nie wywoływał, a nawet budził zachwyt. Jednym z typów tego gatunku jest Anglik. Przypomnijmy sobie, kto z nas nie podziwiał mądrego systemu wychowania młodych pokoleń w Anglii, opartego na rozwijaniu samodzielności i energii, na śmiałem pokonywaniu przeszkód, na sztuce pływania po najbardziej wzburzonem morzu życia, na zuchwałem i mężnem zdobywaniu najtrudniejszych jego stanowisk? Kto z nas nie złożył hołdu idei „self-helpu“? Z jakim smutkiem ubolewaliśmy nad naszą niezaradnością, niezdolnością i niemocą w opanowywaniu warunków bytu! Z jaką melancholią rozważaliśmy porównanie naszych dzieci, które przez szereg lat musiały koniugować i deklinować w najrozmaitszych językach, podczas gdy młodzi Anglicy uczyli się wcześnie chwytać za rogi rozjuszone byki i kłaść je na ziemię ze skręconymi łbami! Z jakiem uniesieniem opowiadaliśmy o „zimnej krwi“ wyrostków angielskich, których nie mogły wyprowadzić z równowagi najsilniejsze podrażnienia! Zazdrościł Brytom tych przymiotów wraz z nami cały świat i — przyznajmy — zazdrościł poniekąd słusznie. Ale ani my, ani inne społeczeństwa długo nie wiedziały, że ta złota łuska pokrywa ciała zwinnych, silnych i żarłocznych rekinów, że ten chwalebny system pedagogiczny wychowuje odważnych, przebiegłych, okrutnych samolubów. Dlaczego, odbijająca zawsze naturę narodu powieść angielska unika zwykle tragicznych wątków i „kończy się dobrze„? Bo jej czytelnicy nie lubią wzruszeń i ogrzewania swej „zimnej krwi.“ Przypatrzcie się tylko, jadąc koleją, jak rozmaite narodowości zajmują miejsce w wagonie: Francuz wejdzie wesoł i zawiąże rozmowę z obecnymi; Niemiec rozepcha sąsiadów, których przedtem pozdrowił; Polak, upatrzywszy wolny kawałek ławki, usiądzie na nim skromny i milczący; Anglik zachowa się tak, jak gdyby nikogo w wagonie nie było: jednemu stanie na nodze, drugiemu położy pled na ramionach, trzeciemu zrzuci z półki kuferek. Bo on ciągle, zawsze i wszędzie zdobywa: wagony, hotele, kajuty okrętowe, restauracye, kraje — wszystko. Nie jest przytem bandytą, nie występuje do walki uzbrojony kindżałem, karabinem lub dzidą— nie! Po prostu całą kulę ziemską i wszystko, co na niej istnieje, uważa za rzecz niemającą właściciela, o którym on dowiaduje się i którego prawa uwzględnia dopiero wtedy, kiedy go odeprze niezwalczona siła. Każ swojemu psu położyć się na twojej podróżnej poduszce: jeżeli psa spędzisz, a jego pana złajesz — on z „zimną krwią“ powtórzy to samo; ale jeżeli psa wyrzucisz za okno, a jego pana poczęstujesz kułakiem — on uzna cię za właściciela poduszki. Jest to bezwzględny czciciel posiadania i faktu spełnionego. Zdobywając kraje, nie wysyła licznych i uzbrojonych wojsk, lecz armię kolonistów, którzy doskonale wykształcili się od młodości w sztuce „samopomocy“ i którzy na nowym gruncie posuwają się w niej póty, póki nie spotkają tamy. A nie chodzi im w tym podboju ani o język, ani o wiarę, ani o zwyczaje i urządzenia społeczne krajowców, lecz o ich bogactwo materyalne. Za pomocą przemysłu, handlu i pieniędzy wysysają szpik z kości narodów, nie naruszając wcale ich szkieletów. Po pewnym też czasie ich ofiary zachowują pozornie wszystkie znamiona swojskiego i niepodległego życia, mówią, modlą się, obcują z sobą jak dawniej, tylko słabe, nędzne, niezdolne do żadnego oporu. Lord Salisbury kiedyś powiedział cynicznie: „Indyom trzeba upuścić krwi“ (*India must be bled*). Ogólna suma tej krwi wynosi obecnie 45,000,000 funt. szter. (około 450,000,000 rb.), a tą ceną nieszczęśliwy kraj okupuje „bezpieczeństwo zewnętrzne i spokój wewnętrzny“ — wcale o to nie prosząc. Naturalnym rezultatem strasznego wyniszczenia ekonomicznego są głody, których wyobraźnia europejska nie jest zdolna przedstawić sobie, w których za zbytek uważa się możność jedzenia raz na trzy dni. „O takich głodach — pisze w *Democracy* szlachetny obrońca nieszczęśliwych, Hyndman — jakie niszczą Indye brytańskie pod naszem panowaniem, nie słyszała długa historya Indostanu. Nadzwyczajna nędza ludu nie da się porównać z żadną inną w świecie. Sam lord Curzon nazwał ostatni głód „bezprzykładnym“ (*unprecedented*). A jednakże Indye używały dostatku i pomyślności, zanim my rozpoczęliśmy w nich rządy rabunku i pustoszenia. Wszyscy podróżnicy europejscy opowiadają o dobrobycie ludu pod panowaniem jego rodzimych władców, których wspaniałe urządzenia irygacyjne wymagają z naszej strony tylko drobnych poprawek i odnowień.“ Taką dolę niesie Anglik wszystkim narodom, które się znajdą w szponach jego „samopomocy.“

Jest to najdoskonalszy, a przeto najniebezpieczniejszy przedstawiciel rodzaju „boa dusiciela,“ który nie napada gwałtownie na swoje ofiary i nie rozdziera ich jak tygrys, lecz okręca zwojami, wyciąga, gruchocze, miażdży, oślinia i połyka jak olbrzymi wąż. Nie jest on tym dzikim mordercą i łupieżcą, który popełnia gwałty i rozboje z barbarzyństwa i może kiedyś wyszlachetnić przez kulturę, ale jest tym zimnym, wyrachowanym, samolubnym okrutnikiem, który przyswoił sobie całą kulturę i wyciągnął z niej najgorsze pierwiastki, najgroźniejsze uzdolnienia do walki o byt. Nie wciela w sobie ohydy barbarzyństwa, lecz ohydę cywilizacyi. Wiedza, religia, sztuka, wynalazki, śmiałe obroty handlu, wspaniałe wytwory przemysłu—wszystko, od ewangelii do weksla, od filozofii do listu frachtowego, służy mu za narzędzie ujarzmiania i wyzysku. Z tym samym celem rzuca do obcych krajów kolosalne ładunki Biblii, z którymi śle ładunki towarów; tę samą rolę spełniają jego misyonarze, co inżenierowie. Podbój, nieustanny, niepokonany, we wszystkie środki nowożytnego rozwoju zaopatrzony podbój, egoizm bez miłosierdzia, bez skrupułu i bez wstydu, który w okazywanych mu zbiorowych fotografiach żywych szkieletów indyjskich „nie może (jak zapewnia Hyndman) dopatrzeć głodu,“ a wydzieranie kopalń złota Burom ogłasza za „obronę słusznych swoich praw.“

Jeżeli porównamy dwa uczucia, jakich doznajemy wobec drapieżnego zwierzęcia i wobec złego człowieka, łatwo dostrzeżemy, że pierwsze jest strachem a drugie wstrętem. Nigdy wilk lub niedźwiedź, nigdy nawet dziki kanibal, obwieszony skalpami pomordowanych nieprzyjaciół, nie wyda nam się tak potwornym, jak okrutny cywilizator. Oto dlaczego ten typ, którego najwybitniejsze rysy skupiły się w J. Bullu, tak dziś odstręcza od siebie Eu-

ropę i podsyca jej sympatyę do Burów. Z narodu angielskiego, który był stróżem wolności i najcenniejszych dorobków cywilizacyi, opadają dziś wspaniałe szaty i ukazuje się z pod nich brudny egoizm. Czuje on do tego oświeconego zdobywcy jak gdyby bezwiedny żal i nienawiść za to, że swem żarłocznem i wyrafinowanem samolubstwem zniesławił kulturę, największe dobro i największy tryumf pracy i męczeństw ludzkości. W atmosferze naszego czasu, którą licznie i potężnie przenikają prądy humanizmu, sprawiedliwości i odrodzenia moralnego, taka latarnia morska, jaka płonie na wyspach W. Brytanii, nie rzuca jasnych smug na drogę statkom uczciwych żeglarzy cywilizacyi, lecz może przyświecać tylko piratom.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

J. J. Bachofen

(1861—1901).

III.

Widzieliśmy, że w opisie społeczeństwa matryarchalnego przeważają cechy wspólnoty ekonomicznej; Bachofen do tego stopnia uważa komunizm i gynekokracyę za sprzężone, że powołuje się nawet na fakt już z czasów Rewolucyi francuskiej: W r. 1793 gromada baskijskiej wsi Lavedan na południu Francyi głosowała nad tem, czy grunty mają być podzielone i zamienione na prywatną własność, czy pozostawione po staremu we wspólnem władaniu. Według starego obyczaju, kobiety też były dopuszczone do głosowania — i prawie wszystkie głosowały za zachowaniem tradycyi komunistycznej, którą jednak większość męska obaliła. Widzieliśmy też, że Bachofen idealizuje stan wspólnoty matryarchalnej, nazywa go błogosławionym. O tej idealizacyi świadczy też piękna bajka, opowiedziana w „Listach antykwarskich“ za Ateneuszem — o bujnym krzaku owocowym, który przestał rosnąć, o cudownem źródle, które bić przestało, jak tylko ludzie zamienili je na własność prywatną. Piętno idealizmu filozoficznego widać jednak na każdym kroku w tłomaczeniu tych zjawisk. Widzieliśmy już, że Bachofen przypisuje kobiecie przyrodzoną religijność, zmysł tajemniczości i intuicyjność; one są przyczyną jej wpływu i potęgi. Ale wogóle religię uważa on za jedyny potężny czynnik życia społecznego, za motor jego przekształceń. Heteryzm odpowiada religii ziemi płodnej, telluryzmowi; matryarchat — religii czystej Luny; patryarchat — kultowi słońca. Kiedyindziej znów matryarchat i komunizm sprowadzane bywają do kultu Ziemi-Demeter, wspólnej matki wszystkich. Owa bajka Ateneusza wywołuje uwagę, że „wielkie macierzyste bóstwa natury, dające płodność gruntom wilgotnym, wstręt czują do wszelkiego ograniczenia życia heterystycznego.“ Wogóle — „w świecie bogów naprzód dokonać się musi to, co znajduje później swój wyraz w stosunkach życia ziemskiego.“

Uczucie dyktuje Bachofenowi idealizacyę stanu matryarchalnego, pełnego miłości, wolnego od walk i niezgód, rozum mieszczański protestuje jednak przeciw tej idealizacyi. Niezgodność widać w tych słowach: „Może być, że idea państwowa rzymska była mniej uduchowiona od helleńskiej, delficko - apollińskiej,“ ale wielkość jej polega na tem, że ostatecznie wyzwoliła męskiego indywidualnego ducha, że raz na zawsze uniemożliwiła powrót ludzkości do tego „starczego dzieciństwa,“ jakiem — pomimo wszystko — było tkwienie w więzach wspólnoty macierzystej. Wszyscy ludzie z inicyatywą, wodzowie ludzkości na drodze postępu, „słoneczni bohaterowie,“ których Bachofen wskrzesza z legend klasycznych, germańskich i indyjskich, są u niego — jak przeważnie u Ryszarda Wagnera — *Weiberhässer*, wrogami kobiecości, której sidła na nich czyhają. Co do demokracyi, to już widzieliśmy, jak surowo potępiał Bachofen to „panowanie niezróżniczkowanej masy,“ to wyzwolenie instynktów ciała, idąc w parze z rozkładem społecznym itd. Stosowało się to wprawdzie do świata greckiego i rzymskiego; ale i co do polityki nowożytnej Bachofen wyraził się wcale nie dwuznacznie w rozmowie z jednym ze swych zwolenników, skrajnym postępowcem: „Demokracya sprowadza zawsze siłą rzeczy tyranię, moim ideałem jest rzeczpospolita, rządzona nie przez wielu, lecz najlepszych obywateli“ [1]). Bachofen trzymał się jeszcze — jak tylu filozofów-historyków przed nim — Arystotelesowskiej i Machiawellowskiej seryi form państwowych, w której demokracya i tyrania są siostrami rodzonemi.... Jak oceniał heteryzm, poznajemy stąd, że w przedmowie do „Prawa macierzystego“ usprawiedliwia zupełnie niechęć ludzi do uwierzenia w taki początek stosunków rodzinnych, sam chciałby rodzajowi naszemu „oszczędzić bolesnego wspomnienia tak poniżającego dzieciństwa,“ lecz — świadectwa historyi nie pozwalają mu na to... To też gdy heteryzm — w bachizmie — powraca, jak ocenia nasz filozof to zjawisko? „Historya — mówi — często nam pokazuje, że dawne stany ludów powracają znów na powierzchnię przy końcu ich rozwoju. Kołobieg życia łączy znowu koniec z początkiem. *Niemiłem* naszem zadaniem jest tę *smutną prawdę* za pomocą szeregu nowych dowodów wznieść ponad wszelką wątpliwość“ [2]). To też Bebel w swej znanej książce „Die Frau“ mylnie pod względem formy i treści cytuje Bachofena, przytaczając jego pojęcie cyklu dziejowego na poparcie swej nadziei, że „kobieta odzyska czynną rolę, jaką odgrywała w społeczeństwie pierwotnem.“ Przeciwnie, aż komiczne robi wrażenie, jak Bachofen z powodu skromnych emancypacyjnych dążności Micheleta, a nawet Girardina, ostrzega ludzkość przed niebezpieczeństwem takiego powrotu do „Isisprinzip“!

Zresztą, w możliwość podobnego powrotu nie wierzy on wcale: interwencya rzymskiego ducha wykluczyła go raz na zawsze, chociaż w Grecyi dokonał się on na jej nieszczęście. Tylko też do Grecyi stosują się słowa, wypowiedziane z powodu kultu wieszczek w pytagoreizmie: „Dawniejszy świat powstaje z grobu; życie usiłuje powrócić do swych początków. Wielkie przestrzenie czasu znikają, i jak gdyby nie zaszły żadne przemiany czasów i pojęć, późniejsze pokolenia szukają zetknięcia z pierwotnemi.“ W jednem tylko miejscu Bachofen uogólnia ideę cyklu dziejowego [3]) po to, aby z faktu powrotu zjawisk początkowych przy końcu ewolucyi danego okresu wyprowadzić wniosek — całkiem w duchu Vica — jak „bieg dziejów ludzkich, mimo całej wolności woli, jest nawskróś prawidłowym.“

Mimo to, rola Bachofena, jako ogniwa w rozwoju idei cyklu dziejowego i powrotu przeszłości w przyszłości, jest też ważna. Ideę tę przejął on od idealistycznej filozofii niemieckiej, ale tam były one w znacznej części, jak już wiemy, owocem wpływu idei „stanu natury“ Rousseau'a. Ta znów była wyrazem całej atmosfery pojęciowej: w XVIII w. we Francyi idealizowano rozmaicie stan natury, stosownie do pragnień reformatorskich. Między innymi niejaki Rolland, członek akademii w Amiens, zupełnie w duchu Rousseau'a napisał rozprawę pt. „Poszukiwania, dotyczące *prerogatyw dam* (*sic!*) u Gallów“ (1787), w której chciał, „przypominając“ kobietom ich dawną wielkość, wywołać w nich pragnienie dorównania poprzedniczkom.*) Utopiści— Saint Simon, a szczególniej Fourier — którzy także idealizowali stan pierwotny, przechowali i wzmocnili tę dążność feministyczną niektórych skrajnych reformatorów XVIII w. Od nich—i od filozofii niemieckiej—przeszła idea powrotu wyidealizowanej przeszłości w wyższej formie do reformatorów społecznych XIX wieku: — tu odbił się wpływ Bachofena i Morgana, którzy—szczególnie pierwszy—uwzględnili stronę feministyczną, położenie kobiety, stosunki rodzinne w obrazie uidealizowanej przeszłości i w cyklu dziejowym. Wspominaliśmy już o śladach tego wpływu u Bebla. Paweł Lafargue w swej „Historyi rozwoju własności“ zupełnie w duchu Bachofena mówi o „wzniosłej roli wieszczki, strażniczki tajemnic (*initiatrice*), którą miała kobieta w pierwotnej wspólnocie,“ lecz zupełnie w duchu Rollanda i utopistów — o odzyskaniu przez kobietę tej roli w przyszłem społeczeństwie. Fryderyk Engels jest trzeźwiejszy i pozytywniejszy. Mówiąc w „Początkach cywilizacyi“ [1]) o przyszłości rodziny, nie wspomina wcale o jakimś powrocie form matryarchalnych czy „heterystycznych“ przeszłości, chociaż myśl takiego powrotu uznaje za słuszną w dziedzinie własności. „Przeciwnie, ze względu na to, że rycerstwo średniowieczne wniosło do stosunków między płciami dotąd wcale nieznany żywioł miłości idealnej, uszlachetnionej, Engels przewiduje w przyszłości (o ile da się ona przewidzieć) tylko udoskonalenie monagomii, oparcie jej na wyłącznej podstawie miłości, usunięcie jedynie obowiązku nierozwiązalności.

Zresztą, Engels, zarówno jak Lafargue, Bebel, Cunow i inni, mieli już możność krytycznego przyjmowania całości wywodów Bachofena. Zaprawione, schematyzującą idealistyczną filozofią, bynajmniej nie wszystkie ostały się one przed krytyką prawa porównawczego i etnologii. Wykazano, że „amazonizm“ można uznać zaledwie pod postacią grup kobiet, żyjących osobno od mężczyzn w danem plemieniu, lub w pojedynczych wypadkach kobiecej wojowniczości; że gynekokracya państwowa, nie czysto rodzinna, jest niezmiernie rzadką; że nawet matryarchat całkowity zdaje się być właściwym głównie tylko tym ludom, które z myśliwskich, nie przechodząc przez pasterstwo, stały się rolniczymi itd. Mimo to wszystko jednak pamięć Bachofena w historyi myśli XIX w. nie zaginie nigdy. Pozostanie on w niej, jako genialny odkrywca całego nowego świata; jako ten, który—wbrew całej swej klasowości, prowadzony w swych poszukiwaniach, niby przez Demetryjską wieszczkę, przez Ironię - Dyalektykę dziejów — z pokładów Odrodzenia mieszczańskiego wydobył drogocenne pierwiastki odrodzenia nowego—Odrodzenia ducha wspólnoty...

Dr. K. Krauz.

[1]) Rusanow, 1.

[2]) „Mutterrecht,“ str. XXIV.

[3]) P. Rusanowowi znowu przypada zasługa wyszperania tego ciekawego dokumentu w tomie XI „Collection des pièces relatives a l'histoire de France,“ Paris 1826—1838.

[1]) Wyd. franc., 1898 str. 109.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Erazm Krzyszkowski: *Na starych skrzypkach*. Poezye. Lwów 1899 (1900).—Leon Rygier: *Z greckich motywów*. Warszawa 1900.—Józef Krajewski: *Odrodzenie*. Poemat w 4-ch pieśniach. Warszawa 1901.

Pośmiertnemu wydaniu poezyj Er. Krzyszkowskiego nadano charakterystyczny tytuł: „Na starych skrzypkach.“ Istotnie, czy przeglądamy młodzieńczy jeszcze (z r. 1877) „Sen medyka,“ którego pomysł w kilku ważniejszych punktach autor zawdzięcza Mickiewiczowskiemu „To lubię,“ czy z pobłażaniem przysłuchujemy się śmiechom i igraszkom dwojga dzieci „w altanie“ na lipie, odnawiając jednocześnie w pamięci „Sielankę“ Gaszyńskiego, czy uderzą nam o ucho dźwięki „pieśni kapłanów Eskulapa,“ jakby daleki i zmniejszony odgłos śpiewki filareckiej, czy napotkamy balladę o „Szklanem sercu“ z dyablikami i czarownicami, czy zanucimy pod wtór skrzypki grajka wiejskiego: „świeci miesiąc jasny rożkami do góry,“ — zawsze przypomni się nam coś starego i bardzo znajomego, a nadewszystko otrzymywać będziemy wrażenie, że słuchamy piosnki bardzo prostej i bezpretensyonalnej, niewymyślnej zarówno w środkach jak i w treści. Co prawda, i „na starych skrzypkach“ można wygrywać melodye bardziej urozmaicone i wydobywać tony potężniejsze, niż to czynił Krzyszkowski. Autor jednak sam dokładnie określił rodzaj swej twórczości. „Dramatu ja nie stworzę wam, o epos — niema mowy, lecz rodzaj swój właściwy mam—*poeta spódniczkowy*.“ I to jest zupełną prawdą. Przeważna część zbiorku to opiewanie miłości, częściej miłostek w zakresie gamy niezbyt zresztą obszernej, ale bądz co bądź od tonu czułego i romantycznego do humorystycznego i bardzo nieraz swawolnego, z pewnem zaniedbaniem stylu („kuzynka wysmukłe pedały“).

Nie będziemy u Krzyszkowskiego poszukiwać dowodów wybitniejszych zdolności, głębszych uczuć, oryginalniejszych pomysłów lub obrazów, ale spotkamy niekiedy u niego rzeczy zręczne i dowcipne. Lekkość, a nawet lekkomyślność muzy jego była prawdopodobnie objawem krewkiego, beztroskliwego w gruncie temperamentu, który sprawia nieraz, iż człowiek odwraca się od prawdziwych i głębokich może smutków, i sam siebie omamić usiłując, śmieje się...

U naszego autora, w ostatnich przynajmniej latach, drga głębsza, poważniejsza nuta tłumiona głośnym a swawolnym śmiechem. Widocznie lekarz z zawodu, zwraca się do tych, co jak mówi, pchają z wysiłkiem w górę „altruizmu modne hasło: obnażone z lauru skronie złóż na czarną pierś nędzarza i posłuchaj... takie jęki *nam się codzień słyszeć zdarza*.“ Lecz w poezyi wolał zapomnieć o takich widokach i skargach, wolał „tylko o miłości nucić zawsze—dzieciak stary.“ Oryginalne poezye zakończone są smutnym akordem „z szpitalnej celi,“ może ostatnim wierszem, który poeta w życiu napisał. „Słyszeliście wy kiedy niemego głos śpiewaka?“ (1898 r.). Przykro odpowiadać na takie pytania, jakkolwiek literatura straty widocznej nie poniosła, gdy głos ten zamilkł... Na zakończenie zbiorku podano kilkanaście wcale niezłych przekładów z Petöfiego.

„Na starych skrzypkach“ to plon całego życia, acz niezbyt obfity. „Z greckich motywów“ Leona Rygiera, to fragment zaledwie, więc tylko kilka słów o nim powiemy, chociaż tu wchodzimy już na wynioślejsze, niż dotychczas, szczyty i przebywać będziemy w towarzystwie Pigmaliona i Prometeusza... Nie darmo malutkiemu zbiorkowi swemu autor nadał miano „z *greckich* motywów,“ gdy skwapliwie przed nami roztacza jasne, świetlane barwy, ukazuje roześmianą, ciepłymi blaskami strojną, przyrodę. A jednak... motywy owe nie są zupełnie greckie, gdyż brak im bezpośredniego ujęcia przyrody i życia, brak szczerego oddania się wrażeniom chwili. Treść np. „Fantazyi greckiej“ jest taka, że autora zewsząd otaczają czary wiosny, upajają go, a on chroni się przed nimi. „Ja nie chcę dziś rozkoszy, śmiech na ustach moich kona: pod tem drzewem razem ze mną, przeszłej wiosny była ona!“ Co prawda skończyło się na kapitulacyi. „Duch lotem zachwytu szybuje w przestworzu.“ W innym poemaciku „w Arkadyi“ oglądamy śliczny korowód Dionizosa, ale w oczach młodego boga „niezdrowy błyska żar.“ Zjawia się cudne, jak sen, dziewczę i wnet — ulega pokusom: „O jakże trudno znaleźć tu na biednym naszym świecie wśród tylu pysznych róż — nierobaczywe kwiecie!“ Nawet wygłaszając entuzyatyczny „hymn do Afrodyty,“ poeta dostrzega, że w oczach twych wszystkie *bóle* i rozkosze płoną, jakimi darzysz świat ten.“

Motywy p. Rygiera są piękne, ale tą ogólnikową nieco pięknością, która nie chwyta sama przez się serca, na której trzeba z wysiłkiem pewnym zatrzymać ślizgające się oko, by poraz tam któryś powiedzieć: a tak, to ładne... Zresztą, to taki drobny fragment...

Lecz oto przed nami „poemat“ w 4-ch pieśniach p. Krajewskiego. Bezwątpienia, z pilniejszą uwagą wpatrzymy się w dzieło większe, niż w najpiękniej cyzelowaną, przywianą „wiatru porannego pędem“ drobnostkę — pomni, iż potężniej trzeba się wzmódz duchem, by wypielęgnować pomysł i by żywemi odziać tkankami suchy szkielet powziętej myśli. Patrzmy tedy, czy dostrzeżemy jakąś żyłkę cennego kruszcu...

Pomysł p. Krajewskiego jest dziwnie mętny; nie mglisty, niezbyt subtelny i rozwiewny, a przesłonięty zewnętrznemi upiększeniami, lecz właśnie mętny, jest wirem ogólników, niedokształconych pojęć i skojarzeń, które się bezcelowo stykają z sobą i znów rozskakują w różne strony. Bohaterem poematu jest p. Karol, który nakształt Płoszowskiego postradał wszelkie dogmaty, wiarę i w opatrznościowe rządy świata, w cnotę, i w swoją niewiarę itd., a nawet czuł się dumnym z tego stanu, bo uznał się wolnym od powijaków, jako ten, co znalazł prawdę wszelkich prawd. Serce mu jednak powiedziało, że niewiara jest śmiercią, nie życiem, więc oto szerzy wśród kolegów troiste hasło: czci, wiedzy i miłości. Pierwszy wyraz jest stanowczo zagadką, i nie wiadomo czy p. Karol na współkę z autorem zdaje sobie dokładnie zeń sprawę; zresztą „cześć“ ma pobudzać do jakowegoś „czynu,“ bliżej nieokreślonego. Co do miłości, nie jest to uczucie obejmujące ziemię i niebo, lecz pragnienie wyszukania jakiejś pięknej „zasady,“ któraby pięknemi ramionami zawisła u piersi reformatora... Bo trzeba wiedzieć, iż są to „ideały, w których się cele ludzkości zawarły;“ skądinąd „to nie są żadne społeczne programy,“ na co chyba przystaniemy chętnie. „Po dwóch latach walki“ (ależ o co, na Boga? Czy o zdobycie *dla siebie* czci(?), wiedzy i kobiety?)—p. Karol zagasił ofiarne ognie na swych ołtarzach. Z błysków słonecznych utworzył słup, po którym piął się w górę, prowadząc za sobą ciżbę (jakim sposobem?), lecz oto ludzie powbijali kliny „nizkiej żądzy, oszczerstw i zazdrości sinej.“ „On silniejszy, wolali, więc łatwo celu (?) dopnie. „Cześć trzeba było „ukryć w piersiach i przygnieść głazem,“ by uniknąć szyderstw; „wiedzy“ posiąść nie dali ci, co nią kupczyli (biedaczek!); a wreszcie „ona“ (według programu była i „ona“) zabiła w nim człowieka.“ Ale litościwa jakaś słuchaczka posępnej tej opowieści wskrzesiła zabitego: „ustami, ust naszego bohatera szuka, a on je podsuwa z pośpiechem“ i „pod nowej tej miłości wpływem, zgnębiona jego dusza znów odżyła.“ Nie pytajmy, jaka tu się odbyła przemiana duchowa, lecz tylko: o co właściwie chodzi Karolowi? I zresztą, czy mamy wierzyć „odrodzeniu,“ jeżeli autor odejmując ręce od strun, taki z nich zgrzyt wydobywa: „jest-że na świecie człowiek tak kochany, by w to uwierzył i... nie kpił z tej zmiany?“

Wogóle autor, jak widać z tonu jego opowiadania, jest mocno rozgoryczony, lecz przyczyny jego mizantropii są również tajemnicze, jak miotania się, upadki i zmartwychwstania Karola. A, przepraszam! „Te wszystkie bóle, przekleństwa i męki — to wszystko przez was.. (to *was* oznacza „dziewczęta jasno, ciemno - włose“)!.. żem was całował — klnę splamionej wardze.“ Czując się uprawnionym do ironii, poeta każdy ruch osób poematu i swej własnej myśli śledzi z drwiącym grymasem, sprawiającym nieraz wrażenie nadzwyczaj niesmaczne, jak „kolega Adam,“ zastosowano do Mickiewicza. Nie jest to naiwność wieszcza i ta niezręczność stylowa, podobna spotykanym u p. Wróblewskiego czy Steliny. Autor posiada zupełnie wyrobioną formę. Usadowió Karola w parku łazienkowskim, kazać mu oddać się mądrym rozmyślaniom o stosunku formy i treści, sprowadzić nań ulewę i potem z uśmiechem spoglądać, jak wytrzeźwiony z zapędów metafizycznych umyka, co tchu, gdyż „z formy chmury deszczu treść wypadła“—toć przecie świadoma złośliwość autora. Ale, sam to wyznaje: „ja, niestety, poetą nie jestem“; więc to, co u Byrona, lub u Słowackiego w „Beniowskim“ czy „Podróży na Wschód“ jest albo zjadliwym sarkazmem, albo swawolną igraszką, która przystoi wielkiemu panu—u p. Krajewskiego, przeobraża się w poufałą, szlafrokową gawędę z czytelnikiem, w widowisko mozolnego wciskania na się kołpaka z dzwoneczkami...

P. Karol wprowadza nas w kółko młodzieży, rozgłośnie wojującej z sobą o przekonania, ideały, programy... Wierzylibyśmy temu chętnie, gdybyśmy mogli zrozumieć, o co im chodzi. Ale przecież oni zwalczają p. Karola! I jak główny bohater nie uosabia w losach swych walk duchowych choćby najdrobniejszej cząstki pokolenia współczesnego (taki był przecież zamiar autora?), podobnież audytoryum jego jest tylko zgromadzeniem flirtujących panów i pań, nie jakimś odłamem „najmłodszych.“ Zdaje się, że p. Karol sam siebie nie znalazł jeszcze—nie wiem czy szukał — więc zapędził się zbyt daleko, ofiarując nam swe skarby: „kiedy wam muzy własnych myśli bronią, czerpcie z tych moich jęków pełną dłonią.“

A. Drogoszewski.

LITERATURA FRANCUSKA.

DRAMAT TYTANÓW.

Danton. Trois actes de Romain Rolland.

Onego czasu wielkie południa tytany...

Kto nie zna tej tyrady Słowackiego? Kogo przy jej czytaniu dreszcz nie przejmuje na myśl o czasach, kiedy

gilotyna, okryta łachmanami kirów,
niezmordowaną ręką machała stalową,
a gdziekolwiek skinęła, tłum umniejszał [głową!?

Czasy te nie miały dotąd swych epików ani swych dramaturgów. Nie zapominam tu, naturalnie, o Lamartinie ani o Michelecie; ale ć to—napół przynajmnej—nauka, historyografia, choć pomieszana z namiętnością polityczną i ze zdolnością artystyczną, twórczą i odtwórczą. Lecz właśnie za dużo w tych dziełach namiętności stronniczej, zanadto ich autorowie stają po stronie jednych, a przeciwko innym, aby mogli uchwycić charaktery wszystkich, zrozumieć i oddać w całości dramatyczność sytuacyj, którym mało jest równych, a może wcale niema silniejszych u Sofoklesów starożytności, u Szekspirów czasów nowszych. Rewolucya francuska zamało jeszcze „umarła w życiu" — wszak Tarde mówi: zaczekajmy, niech się najpierw skończy, a dopiero sądzić ją będziemy!—oby mogła—„odżyć w pieśni."

Z pisarzy scenicznych dotknął tych wielkich tematów Wiktoryn Sardou, ręką nie artysty, lecz zręcznego rzemieślnika tylko, i w dodatku człowieka partyi, współczesnego „umiarkowanego republikanina," niechętnego samemu wspomnieniu Robespierre'a. Jego „Termidor" jest dobrze zrobioną szopką pod jednym względem, jawnym pamfletem przeciw Komitetowi bezpieczeństwa publicznego z drugiej strony, a z obydwóch powodów—utworem czysto sensacyjnym, pozbawionym wszelkiej głębszej i trwalszej wartości artystycznej. Czego nie zrobił i nie sprobował nawet zrobić uznany mistrz sceny mieszczańskiej, czego zresztą ten typowy przedstawiciel niby kulturalnego filisterstwa zrobić nie mógł, o to pokusił się zupełnie młody pisarz, Roman Rolland, i trzeba przyznać, że mu powiodło się to znakomicie. Akcya jego dramatu „Danton" dzieje się w najstraszniejszej chwili rewolucyi francuskiej: kiedy terror dochodzi do punktu kulminacyjnego, kiedy po straceniu żyrondystów Góra rozdzierać zaczyna swe własne łono, kiedy Robespierre właśnie przy pomocy przesyconych już mordami Dantonistów pozbył się krzykliwej skrajnej lewicy Hebertystów, i z kolei zamierza ciosem, wymierzonym ku prawicy, zgubą Dantona i frakcyi „Pobłażliwych," powstrzymać coraz silniej zarysowujący się zwrot ku umiarkowaniu, ku uspokojeniu Francyi przed jej gruntownem przebudowaniem, zwrot żywiołowy, który za parę tygodni i jego zmyje z powierzchni, jak piórko .. Malując silnymi, śmiałymi rzutami pędzla tytaniczne postacie walczących na śmierć, młody pisarz potrafił jednak zachować wobec wszystkich niezbędną przedmiotowość, a raczej — jednakowo wcielić się w każdego i pokazać ich też, jak żywych. Nie towarzyszy ujawnieniu się tego utworu ani tysiączna część hałasu, wywołanego przez „Termidor" Sardou: „Dantona" raz tylko grano na scenie teatru „Oeuvre" w Paryżu, a jednak jest to utwór wielkiej siły i dojrzałości, mający trwałą wartość i jako książka po za deskami scenicznemi, który kiedyś, w historyi sztuki, mającej Rewolucyę za przedmiot, stanowić będzie ważną datę.

Rolland na jednym punkcie odbiegł od prawdy historycznej. W rzeczywistości Hérault de Séchelles, b. członek komitetu bezpieczeństwa publicznego, jeden z wybitniejszych „Indulgents," już d. 15 marca 1694 r. był aresztowany za danie przytułku przyjacielowi, ściganemu przez trybunał rewolucyjny. Hebertyści zostali zgilotynowani 24 marca, Dantoniści zaś, w tej liczbie Desmoulins, generał Westermann, Philippeaux, Fabre d'Eglantine i wyżej wymieniony Hérault — dopiero 5 kwietnia. Temu właśnie porządkowi Rolland się sprzeniewierza: wszystkie te wydarzenia zbliżone bezpośrednio, odbywają się w ciągu dwóch kolejnych dni. Było to konieczne dla wydobycia całego efektu dramatycznego. Po za tym szczegółem, wewnętrzna prawda historyczno-psychologiczna uchwycona i uwydatniona jest wybornie.

Już w pierwszej scenie poznajemy właściwy charakter grupy umiarkowanych. Rzecz dzieje się w mieszkaniu Kamila Desmoulins'a. Z ulicy dochodzą wesołe wrzaski tłumu: to wiozą na ścięcie Héberta, Anacharsisa Clootsa, generała Ronsina... Desmoulins nie posiada się z radości: przez okno życzy im szczęśliwej podróży: dumny jest: wszak to jego artykuły w *Vieux Cordelier* spowodowały zgubę tych „wściekłych." Jego żona, milutka, 22-letnia Lucyla, pokazuje „łajdaków" przez okno swemu synkowi. Ta drapieżna kotka w paru rysach odmalowana jest wybornie. Wierzy we wszechmoc i wielkość swego Kamila, lekkomyślnie zachęca go do walki z Robespierrem, którego jednak okropnie się boi, a jeśli się jej rozsądniejsi przyjaciele sprzeciwiają, to im obiecuje albo oczy wydrapać, albo — nie dać czekolady... To jeden typ kobiety rewolucyjnej: Hérault mówi o niej, że jest „najokrutniejszą z nas wszystkich." Ale jest i drugi typ: przyjaciółka Robespierre'a; Eleonora Duplay. Córka robotnika, u którego, w skromnym pokoiku, mieszka dyktator, dziecko nie tej sfery adwokacko-literackiej, której się zdaje, że to ona zrobiła rewolucyę i że może nią dowolnie kierować, ale samego paryskiego ludu, przejęta głęboką wiarą w sprawę, widząca w Robespierze jej apostoła, czuwająca nad nim wiernie i troskliwie. Gdy Westermann, odwołany z pola wojny, za brak energii w zwalczaniu wandejczyków, ma z Robespierrem gwałtowną rozprawę, Eleonora czuwa za drzwiami z pistoletem w ręku. Przed koniecznością terroru nie cofa się, lecz nie okazuje śladu okrucieństwa ani uciechy; boleje tylko na wspólkę z Robespierrem nad tyloma zdradami. Jedyną ich rozrywką jest, że czytają razem Rousseau'a w przyjaźni, lecz pod chłodnymi, purytańskimi pozorami jest to, jak ją ją określa sam autor, „dusza, co się rumieni."

Uciechę Desmoulins'a mąci myśl o Fabre, poecie, przyjacielu, b. pomocniku Dantona w ministeryum sprawiedliwości, uwięzionym pod fałszywym zarzutem przekupstwa Philippeaux, który wystąpił publicznie przeciw okrucieństwom Rossignola w Wandei, czuje, że i jego lada chwila czeka taki sam los. Podnieca on Desmoulins'a do wydania nowego pamfletu, wymierzonego przeciw Robespierre'owi. Desmoulins był dotychczas przyjacielem i sprzymierzeńcem Robespierre'a; lecz są to dwie zbyt sprzeczne natury. Każdy z nich inaczej wyobraża sobie zadania rewolucyi i przyszłość rzeczypospolitej. „Biedna republiko! — mówi Kamil „ateńczyk" — co oni z ciebie zrobili! O, kwitnące łany, ziemio odmłodzona, o powietrze czystsze, o światło jaśniejsze od czasu, jak świeży powiew rozumu spędził z francuskiego nieba smutne zabobony i starych świętych gotyckich! O, korowody młodzieży, tańczącej wśród łąk! Armie bohaterskie, braterskie piersi, ściany z bronzu, o które łamią się dzidy Europy! Uciecho z piękna, harmonijne kształty filozofów Portyków, Pantatencje szlachetne, gdy snują się dziewice o białych ramionach, w miękich draperyach! Swobodo życia, rozkoszy, zwyciężająca wszelką brzydotę, obłudę, ponurość! Republiko Aspazyi i Alcybiadesa, co się z ciebie stało? Czerwona czapka, brudna koszula, głos ochrypły, przywidzenia maniaka, pedantyczna ferula bakałarza z Arrasu!" *). Kamil, który nam mówi o sobie, że ma „cudowne powołanie do tego, aby być szczęśliwym," nie może znieść surowej dyscypliny, nałożonej na cały naród przez rząd rewolucyjny, i postanawia użyć swej „procy Dawida" — pióra — aby obalić z kolei — po żyrondystach (których już zaczyna żałować) i hebertystach — „obłudników cnoty." Hérault ostrzega go wprawdzie, aby nie wierzył w miłość ludzi: „Kto może ufać w przywiązanie tego zwierzęcia? W jego mętnych oczach zdaje nam się czasem, że czytamy odblaski naszych ułomnych myśli. Lecz mózg tłumu — to morze, w którem tłoczą się potwory i zmory." On już codzień ze spokojem byłego arystokraty chodzi patrzeć na przejeżdżające wozy ze skazanymi, aby nauczyć się umierać. Lecz Desmoulins znajduje poparcie u Dantona.

*) Robespierre.

Danton przedstawiony przepysznie. Jest to dziecko ludu, gleby szampańskiej, o kolosalnym rozmachu prostych, nieskomplikowanych potrzeb. Ogrom jego głosu wstrząsa tłumami. Ma on poczucie swej żywiołowej siły. Dla tej płodnej siły — swojej i ludu — szukał ujścia w rewolucyi, łamał kraty starego ustroju. Złamawszy je, nie chce budować nowych, nie chce — jak Robespierre — wtłaczać Francyi w ramy apriorycznego systemu. Chce jak najprędzej „zapłodnić rzeczpospolitą." W tym celu— dość już trupów, dość walk. Zawrzeć pokój z mocarstwami, aby zatrzymać już dokonane zdobycze, pojednać wewnątrz walczące partye — to jego polityka. Za dużo ma Francya wielkich ludzi — tłomaczy on Kamilowi — przydałoby jej się więcej miernot, toby się mniej nawzajem pożerały. On sam, uznając Robespierre'a za największego po sobie, postanawia ustąpić mu pierwszeństwa, usunąć się z widowni politycznej. Tem bardziej, że chciałby żyć — dość mu już być „ślepym koniem, obracającym kierat"; wolny od trosk rządzenia, daje folgę swym instynktom, hula z kobietami. Nie cierpi „dyktatorów impotencyi, którzy nazywają zepsuciem szczerość uprawnionych potrzeb"; o ludziach zaś wie co trzymać: „opinia—to prostytutka, honor—furda, potomność — cuchnący dół..." Nie Ateńczyk to; lecz wspólny wstręt do ograniczeń uciechy życiowej sprzymierza go z Dantonem przeciw Robespierre'owi. Waha się jednak, nie chce walki z nim, wolałby ustąpić, nie wierzy, aby knowano intrygę przeciw niemu; „zresztą — powiada -- niech się tylko odwrócę a pokażę im swój ryj!" Lecz rozmowa z Robespierrem rozstrzyga o walce.

Ta rozmowa trzech działaczów — to jedno z najsilniejszych miejsc dramatu. Poznajemy z niej Robespierre'a, rewolucyonistę w imię systemu, purytanina działającego za pomocą idei, nie żywych ludzi, ale zarazem nie sceptyka, nie epikurejczyka, człowieka wierzącego w lud i w swoje posłannictwo dla ludu. Przyszedł żądać od Desmoulins'a, aby zaprzestał wydawania swych pamfletów, które dodają otuchy wewnętrznym i zewnętrznym wrogom rewolucyi.

— Mówię prawdę— odpowiada Kamil— Jeśli nie wolno głosić wszelkiej prawdy, to niema rzeczypospolitej!

A Robespierre:

— Rzeczypospolitej jeszcze niema! Tworzymy ją dopiero, a wolności nie buduje się za pomocą wolności.

Desmoulins:

— Lecz cóż ja robię? Wzbudzam miłość do wolności; pokazuję w niej ludom świetny obraz szczęścia.

I tu pada wyznanie wiary Robespierre'a, ucznia Jana Jakóba:

— Szczęście! Oto złowrogi wyraz, który przyciąga do was wszelki egoizm i wszelkie pożądania! Kto nie pragnie szczęścia? Lecz my nie Persepolisu szczęście ludom niesiemy, tylko szczęście Sparty. Szczęście — to cnota. Ale wy nadużywacie tego świętego wyrazu, aby za pomocą niego budzić w słabych pragnienie tych zbrodniczych uciech, które polegają na zapomnieniu o bliźnich, a używaniu zbytku. Niech Francya umie cierpieć, niech cierpi z uciechą, aby być wolną, niech każdy po -

święca dobrobyt, spokój, uczucia osobiste dla szczęścia świata!

Purytanin taki ma wstręt do hulanek Dantona. On sam zachowuje ściśle „post obywatelski," nakazany przez Komitet, aby zapewnić jak najwięcej żywności armiom, broniącym kraju. On chce wykorzenić we Francyi zepsucie i występek: bez tego nie rozumie rewolucyi. I pojednawczość Dantona nie przemawia do niego, choć okazuje jawną wzgardę Fouchému, który „majestat terroru zhańbił mordami lyonskimi." jednak wiemy, że „litość dla katów jest okrucieństwem względem ich ofiar."

Robespierre wszakże nie zdecydowałby się może na zgubę Dantona i Desmoulins'a, gdyby nie przybycie Saint-Justa, tego żywego miecza rewolucyi." W tym młodzieńcu niema już śladu zwyczajnych, ludzkich uczuć; całym owładła myśl o sprawie, o idei abstrakcyjnej. Oświadcza w oczy Robespierre'owi, że jego samego w razie potrzeby poświęciłby dla tej idei, choć go kocha, jak brata. W drugiej potężnej scenie — między członkami Komitetu bezpieczeństwa publicznego — przemawia on za skazaniem Dantonistów. U Robespierre'a ze szczerą wiarą w swe posłannictwo ideowe miesza się wciąż mściwość i obraźliwość osobista, i dyplomacya nieświadomie obłudna. Saint-Just idzie prosto do celu. Wstrząsającą jest scena, kiedy nie chce się zgodzić na aresztowanie Dantona w nocy, a żąda, aby mu powierzono zdemaskowanie go publiczne w Konwencie. Robespierre, Billand-Varennes, Vadier tłomaczą mu, że wtedy zwycięztwo będzie bardzo wątpliwe, Saint-Just zgadza się ryzykować życie bez wahania; lecz nie chce splamić swego honoru, pragnie walczyć oko w oko. Lecz Billaud na to: „Poszanowanie samego siebie jest egoizmem. Co nas obchodzi, czy serce Saint-Justa będzie splamione, czy czyste: ratujmy rzeczpospolitę!" I wtedy Saint-Just: „O, republiko! — woła — bierz więc cześć moją, skoro ci jej trzeba, pochłoń mnie całego!"

Billand i Vadier — to znów inni rewolucyoniści. Terroryści bez najmniejszych skrupułów. Ani „ateńczycy," ani „spartanie." To poprostu — biurokraci rewolucyi, wolni od ideowego balastu. To przyszli następcy Robespierre'a: oni główną rolę grają 8 termidora, w dniu obalenia „dyktatora cnoty." Nie opromienia ich świadomość żadnego posłannictwa. A jednak i tu autor dramatu umiał uniknąć jednostronnego pamflecistwa. Oto np. Billaud: z ust mu nie schodzi wyraz „gilotyna." Lecz, jako minister do spraw departamentalnych, zabija się wprost pracą, nie śpiąc, nie jedząc; na posiedzeniu omdlewa i z bezsenności dochodzi niemal do obłędu. W takiej chwili ogarnia go rozczulenie: „O, Naturo! nie do takich burz mnie stworzyłaś! Dusza moja spieczona jest przez zabójcze wichry pustyni. O, serce zbyt tkliwe, stworzone było do cichego życia wśród grona przyjaciół i kochającej rodziny!.." Vadier budzi go szyderstwem...

Stary cynik Vadier — to już zapowiedź termidorzystów, tych „królobójców," którzy później z całą swobodą zostają hrabiami i senatorami Napoleona, a nawet Ludwika XVIII. Tenby chciał, aby ci wszyscy „waryaci" — Danton, Desmoulins, Robespierre, Saint-Just — czemprędzej nawzajem się pozagryzali; wtedy będzie można urządzić interesy, jak się należy. Gdy w trzecim akcie, na sądzie, tłum wzburzony chce uwolnić Dantona, Saint Just poskramia go nieustraszoną dumą i odwagą, Vadier — pozbywa go się ogłoszeniem, że przyszedł transport żywności. I po wyprowadzeniu skazanych ci trzej, Vadier, Billaud, Saint-Just zostają na scenie.

Vadier. Zgniły kolos powalony. Rzeczpospolita oddycha.

Billaud (surowo patrząc na Saint-Justa). Rzeczpospolita będzie dopiero wtedy wolną, gdy nie będzie dyktatorów!

Saint-Just (mierząc swym wzrokiem obydwóch): Rzeczpospolita nie będzie czystą, aż się pozbędzie drapieżników!

Vadier (szyderczo): Rzeczpospolita nie będzie wolną, nie będzie czystą, aż — nie będzie wcale rzeczypospolitej...

K. Radosławski.

POEZYE

Derwisz.

W biało-brudnej opończy, z obnażoną głową,
Pod gradem skier palących, w środku zbiegowiska,
Miota się, piach wyrzuca piętami, i z blizka
Widać spienioną, potem zlaną twarz, bronzową.

W zwartym kułaku topór miedziany połyska,
Dzikie jęki powietrze drą. Co każde słowo
Wah Ali!.. [1]) w szale ryczy. I znów sławi mową
Męczennika, przewraca białka, pianą pryska.

Ucichło. Opętany „mąż święty" dokoła
Obchodzi widzów. *Aj em Darwisz!* [2]) —dysząc woła
I chciwie dłoń wyciąga, twarz krzywiąc boleśnie.

A mnie się niewyraźnie zdaje, jakby we śnie,
Że widok ten nie nowy, lecz tylko zmieniony,
Że gdzieś widziałem takich derwiszów legiony.

Taniec bajader.

Wybiegła. I wolniutko krąży; rzekłbyś: płynie
Przy brzdąkaniu tłumionem saraudarów [3]) grona.
W poczuciu siły wdzięków, jak greckie boginie
Wyniosła, na krzyż splotła ozdobne ramiona:

Magnetyzuje czarem. A gdy już skupiona
Na pięknej łuna spojrzeń — stanie, głową skinie:
Namiętnym szeptem zadrży tara [4]) wyuczona:
To wstydliwa zapowiedź rozkoszy z niej płynie.

Ucichła. Wnet wybuchnął taniec rozpasany —
Skonał. Skargą namiętną wtóru pełne tony
Łkają... rwą się (przygrywka coś szepce wstydliwa:

Dalsze ciągi obietnic). Tancerki zdyszanej
Tors mdleje, to wygina się na wszystkie strony,
Słania się, już... lecz tańca szał znów ją porywa.

Szachsej-Wachsej. [5])

Do czarnej z półksiężycem chorągwi ponurej
Ciągną tłumy na krwawe dzisiejsze igrzysko.
Na wzgórzu siadły w szadrach Persyi smagłe córy.
Jak wielka biała płachta na tle cmentarzyska.

Czekają, łkając cicho. Nagle się rozlewa
Lament szeroki. Oto idą ślubownicy;
Stanęli. Każdy na się biały fartuch wdziewa,
Wiąże głowę: gotowi wiary męczennicy.

Błysły szable, kindżały, s zczęknęły łańcuchy,
Krótkim szczękiem, by świętej nie przerywać ciszy,
I rusza barw procesya gęstymi szeregi.

Za chwilę tłum rozciągnie się w korowód głuchy,
Buchnie okrzyk i w pląsach szalonych przybyszy
Zaczną migać krwią zlane głowy i szat śniegi.

Wacław Rogowicz.

---

[1]) *Wah!* — okrzyk boleści na Wschodzie. Derwisze—Szyici w swych praktykach ekstatycznych uprawiają kult Alego, protoplasty Szyitów.

[2]) Jestem derwisz!

[3]) Muzykantów (*saar* — mandolina wsch.).

[4]) *Thari* — rodzaj bandury.

[5]) Tak nazywa się święto żałobne u mahometan-Szyitów na pamiątkę śmierci Alego; punktem kulminacyjnym obchodu jest zadawanie sobie ran w głowę i biczowanie łańcuchami przez tych, co ślubowali to krwawe umartwienie.

SPRAWY EKONOMICZNE

NASZE DROGI.

Według doniesień pism, projekt nowych przepisów o podatku drogowym i sposobach jego opłaty w Królestwie Polskiem, całkiem opracowany, czeka już tylko na zatwierdzenie władz wyższych. Jest to wiadomość niesłychanie ważna, reforma bowiem w tym zakresie wpłynąć może znacznie na naprawę stosunków ekonomicznych. Stan dróg jest wyborną miarą stopnia kultury danego kraju i społeczeństwa. We Włoszech, na bocznych, nawet bardzo podrzędnych drogach, chodzą omnibusy parowe; w Niemczech i innych krajach zachodnio-europejskich wszystkie drogi są tak świetne, że jeden koń może na nich ciągnąć olbrzymie fury naładowane. W miarę posuwania się dalej na Wschód drogi są coraz gorsze, a siła zwierzęca pociągowa coraz mniej może dźwigać ciężarów, które dochodzą do minimum w ziemi jakuckiej, gdzie zaledwie parę pudów jedna furmanka przewozi.

U nas środki komunikacyi kołowej są jeszcze fatalne; straty zaś, stąd pochodzące, nie dadzą się nawet obliczyć. Na naszych drogach koła szybko się niszczą, konie bardzo prędko tracą siły, uprząż się rwie. Przytem siła pociągowa musi być dwa razy większa, a ładunek znacznie mniejszy, niż na drogach dobrych. Nadto obliczmy, ile czasu niepotrzebnie się marnuje z powodu złej komunikacyi. Największe atoli straty ponosi ludność wiejska z powodu niemożności dotrzymania terminów dostawy. Właściciele gorzelni, plantatorowie buraków, wytwórcy produktów zbożowych, związani surowymi warunkami umowy z hurtowymi odbiorcami (jak np. cukrowniami, rządowymi składami spirytusu, intendenturą wojskową), skutkiem złej komunikacyi dochodzą prawie do ruiny. Produkty mogą być na czas przygotowane, ale naraz deszcze, słoty, niespodziane roztopy, paraliżują wszelką komunikacyę. W najlepszym razie furmanki, zgodzone po cenach wygórowanych, wloką transport powoli. Ale wozy na wybojach przewracają się, przez co psuje się lub niszczy produkt; często zaś zapadają w przemiękłej ziemi lub błocie i tamują drogę całemu taborowi. W rezultacie produkty przychodzą prawie zawsze spóźnione lub znacznie uszkodzone.

Na złym stanie dróg tracą tedy wiele nietylko posiadacze gospodarstw folwarcznych, lecz i włościanie, bądź jako dostawcy własnych produktów na jarmarki, bądź też jako najęci przez większych właścicieli. Nasz lud jednak wcale nie umie zdać sobie sprawy z tego, że od stanu dróg w znacznej mierze zależy jego dobrobyt i dlatego lekceważy zupełnie komunikacyę kołową, a obowiązkowe szarwarki uważa za niepotrzebną pańszczyznę, którą odbywa niechętnie i niedbale. Znacznie do tego się przyczyniają wójtowie gmin, którzy chcąc zyskać wyborców, robią włościanom ulgi. Mianowicie naganiając pozornie do napra-

wy, pozwalają im na to, ażeby wyjechawszy z formankami na drogę, spędzali czas bezczynnie, zaoszczędzając tym sposobem sprzężaj. Czasem tylko, dla oka ludzkiego, ten i ów przywiezie furę ziemi czy piasku i wysypie na drogę. Pobłażliwość taka wójtów interesowanych jest wielce szkodliwą, bo przedewszystkiem podtrzymuje ona zły stan dróg, nadto utrwala śród ludu to przekonanie, że obowiązkowa naprawa jest ciężarem zbytecznym i że napędzanie go do tej roboty przynosi mu krzywdę.

Taki stan rzeczy można zmienić tylko na drodze reform zasadniczych. Sprawa ta, niezmiernie żywotna, już niejednokrotnie poruszana w sekcyi rolnej, była nieraz przedmiotem narad, prac i zabiegów zbiorowych. Ale, niestety, w czynie rezultatów dotychczas nie widzimy.

Dawniej, w epoce pańszczyźnianej, sprawa budowy i utrzymywania dróg bitych stała nierównie lepiej, niż dzisiaj, pomimo że ówczesny stan ekonomiczny nie wymagał jeszcze tak gwałtownie udogodnień komunikacyjnych. Czynnikiem postępu w tej mierze był przymus, który dziś powinien się stać obowiązkiem ludności; że jednak ludność ta nie rozumie jeszcze całej doniosłości komunikacyi drogowej, należy więc wprowadzić rygor i innego rodzaju przymus: za pomocą prawa i odpowiednich urządzeń. Dotąd istniejące organizacye tego rodzaju bardzo szwankują.

W r. 1866 ogólna przestrzeń dróg bitych w Królestwie Polskiem wynosiła około 2.000 wiorst. Wszystkie wybudowano za pomocą szarwarku, odbywanego w ciągu dwu dni, poświęconych w tym celu przez każdego obywatela. Powinność ta dawała rocznie około 600,000 dni roboczych pieszych i 500,000 furmanek. Nadto, rząd udzielał corocznie na budowę i utrzymanie dróg 20.000 rb.

W r. 1870 zarząd dróg gruntowych i utrzymanie ich zogniskowano w komitetach, dozór zaś powierzono przedstawicielom ludności miejscowej. W takich warunkach drogi były utrzymywane stosunkowo porządnie i nie wymagały nadmiernego obciążenia ludności miejscowej. Od 19 czerwca 1870 r. zarząd dróg przeszedł w ręce administracyi miejscowej; szarwark zniesiono i na utrzymanie dróg zaprowadzono osobny podatek drogowy, który z całego Królestwa przynosił około 1,200,000 rubli rocznie. W takiej sumie określono też wysokość budżetów i dokonywania wydatków.

Doświadczenie trzydziestoletnie przekonało, że pomimo tak znacznych sum, poświęcanych na utrzymanie dróg w Królestwie Polskiem, stan ich w całym kraju stał się gorszym, niż przed rokiem 1870 i pod żadnym względem nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom ekonomicznym i kulturalnym. Otóż na tę okoliczność zwrócono uwagę rządu i dzięki temu, z jego rozporządzenia, opracowano projekt reformy w sposób następujący (według sprawozdania *Now. Wrem.*): Rozkład podatków drogowych między mieszkańców wiejskich, wyznaczanie kolei uiszczania ich w naturze pozostawiono własnemu uznaniu każdej gminy. Ciężary te określają się według ilości ziemi, pozostającej w posiadaniu każdego właściciela (4 dziesięciny lasu odpowiadają 1 dziesięcinie gruntu ornego lub łąki). Szarwark konny obowiązywać będzie tylko obywateli posiadających konie. Dla dowolnej zaś zamiany podatku tego w naturze na pieniężny, komisye drogowe wyznaczają ceny obowiązujące. Niezależnie od tego podatek drogowy ziemski opłacać będą: 1) właściciele ziemscy w wysokości 15% od podatków wnoszonych (gruntowych i innych) i 2) właściciele nieruchomości miejskich 15% od podatku podymnego i dochodów z nieruchomości, oraz 10% od świadectw wydawanych na prawo prowadzenia przemysłu i handlu. W celu zwiększenia wysokości dochodów na utrzymanie dróg pierwszej kategoryi, rządom gubernialnym służyć będzie prawo przedsiębrania środków zmierzających do zaprowadzenia podatku szosowego od przejeżdżających i przewożących towary, w wysokości najwyżej pół kopiejki od wiorsty i konia. Na drogach drugorzędnych wolno będzie pobierać opłaty, zwane „mostowem,“ za przeprawy itd. Oprócz tych wszystkich opłat, stanowiących specyalne środki drogowe, projekt zaleca pobieranie opłat na ten cel od fabryk, zakładów i wogóle przedsiębiorstw przemysłowych w stosunku $^3/_{8}$% od wartości ich urządzeń i czystego dochodu. Gromadzone w ten sposób kapitały pozostawałyby w rozporządzeniu ministeryum spraw wewnętrznych i przeznaczane byłyby na budowę nowych dróg tudzież utrzymywanie już istniejących.

Cała ta reforma, jak widzimy, będzie miała doniosłe znaczenie. Przedewszystkiem przywróci ona szarwark drogowy; następnie wciągnie do opłat te sfery, które w znacznej mierze korzystając z dróg gruntowych, nie ponosiły dotąd żadnych ciężarów na ten cel, tj. przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe. Wreszcie reforma ta wogóle uregulaje opłaty drogowe wiejskie. Nie na tem wszakże powinien być koniec: Niezmiernie ważnym warunkiem jest sama organizacya utrzymania dróg istniejących i budowy nowych. Jeżeli bowiem ta będzie wadliwą, to i obfitość środków pieniężnych niewiele pomoże...

Zen. Piet.

PŁACA ZAROBKOWA.

Ekonomista Say-Starszy, który jakkolwiek mu przy urodzeniu nadano piękne imię Jana Chrzciciela, był tylko popularyzującym apostołem ekonomii politycznej, czemś w rodzaju roznosiciela nowofabrykowanego artykułu naukowego, zdobył się jednak o własnych siłach na kilka prawd naukowych. Między innemi głosił on co następuje: zapłata za pracę ręczną jest nieco za wysoką, albowiem pozwala ona klasie wyrobniczej rozmnażać się jak piasek na brzegu morskim i gwiazdy na niebie. Ta wygórowana płaca hamuje rozwój handlu międzynarodowego. Z obniżeniem zarobku cena towarów spada, a kraj odnośny może wtedy dopiero święcić tryumfy na rynku wszechświatowym. Skromność wymagań ludzi pracy jest zatem zasadniczym warunkiem rozkwitu industryi krajowej. Pogląd Jana Chrzciciela Saya tak uderza swą oczywistością, iż nie wymaga żadnych dowodów, jedynie można zarzucić Say'owi to, że nie wyprowadził dalszych wniosków z tak zdrowej myśli. Każdy przyzna, iż nie tylko obniżenie zarobku, ale zarazem zwężenie innych części składowych ceny towarowej, jako to stopy zysku oraz renty gruntowej, mogą również wybornie się przyczynić się do stanienia towarów, a zatem, jak przypuszcza Say, podbojów ekonomicznych danego kraju. Oprócz tego należy żałować, iż rzeczywistość po impertynencku przeoczyła świetną teoryę Saya. Tak np. Chiny, Irlandya, a nawet Galicya owe — że się tak wyrażę—ziemie obiecane głodomorów, dotychczas jakoś nie zalały świata swymi wyrobami, podczas gdy Ameryka, kraj klasyczny wysokich zarobków, trzyma obecnie w postrachu wszystkie państwa industryalne.

Jeszcze więcej można ubolewać nad tem, iż nowsza ekonomia polityczna z zupełnym brakiem pietyzmu zarzuciła i odrzuciła pozostawione jej w puściźnie odkrycie. Już przed laty kilkudziesięciu inżenier angielski (Brassey), który budował koleje żelazne w rozmaitych krajach, zauważył, iż wydajność pracy jest w prostym stosunku do wysokości zarobku. Gdzie lud lepiej się odżywia, gdzie opływa w pewien minimalny komfort umysłowy, tam pracuje z większą inteligencyą, wytwarza przedmioty lepsze i cenniejsze, nadaje się do obsługiwania bardziej złożonych narzędzi produkcyi itd. Od tego czasu ekonomiści harcują na koniku inżeniera angielskiego. W nowszych czasach kwestyi nadano jeszcze inny zwrot. Tak np. austryacki ekonomista Teodor Hertzka, jeden z ostatnich Mohikanów szkoły Ricardo i twórca idylli społecznej „Froiland“ obszedł się jeszcze nieczciej ze schedą naukową Jana Saya. W ostatniej swej wielkiej pracy ogłasza on wzrost zarobku za talizman zbawczy i klapę bezpieczeństwa gospodarstwa współczesnego. Jak wiadomo, kryzysy przedewszystkiem pochodzą stąd, iż zysk pozostający po pokryciu kosztów produkcyi jest za wielki, aby mógł być całkowicie spożytym. Radzi zatem Hertzka, dla zapobieżenia zastojom przemysłowym, podnieść zarobek, aby w ten sposób rozszerzyć sfery kupującej publiczności. Co prawda, produkcya krajowa uległaby zmianom jakościowym. Tak np. przy pewnej wysokości zarobków, rozchodziłoby się mniej liberyj lokajskich a więcej świątecznych tużurków szewiotowych, mniej łapci a więcej butów itd. Ale gospodarstwo społeczne bardzo prędko przystosowałoby się do nowego popytu. Słowem widzimy, iż nowsza ekonomia polityczna zajęła stanowisko wręcz przeciwne do Say'owskiego. Już ze względów przytoczonych, jako też z tysiąca innych powodów społecznych, humanitarnych, politycznych itd. itd. musiały powstać dążenia poniekąd prawno-państwowe, po części zaś oparte na samopomocy zbiorowej, zmierzające do uregulowania i ustalenia zarobku lub unormowania go zależnie od rozmaitych okoliczności, jak np. konjunktury przemysłowej, kosztów utrzymania itd.

Ruch nowy zapoczątkowały tradeunion y angielskie, które pierwsze zaprowadziły wchodzące obecnie w całej Europie w zwyczaj, kontrakty zbiorowe. Chcąc uniknąć sporów i nieporozumień szkodliwych dla trybu produkcyj, dany związek zawodowy zawiera z przedstawicielstwem zakładów przemysłowych umowę, na której zasadzie, przedewszystkiem ujednostajnia się dla pracowników danego fachu zarobek, przyczem wielkość jego zmienia się według „skali ruchomej“ odpowiednio do wzrostu lub spadku cen wytwarzanych produktów, albo też zależnie od kosztów utrzymania w rozmaitych miejscowościach. Już w r. 1887 Rządowe biuro marynarki angielskiej, powierzając dostawy przedsiębiorcom prywatnym, zobowiązało ich do wprowadzenia w swych zakładach taryfy zarobkowej odpowiednich tradeunion ów. Za przykładem tym poszły: Urząd Szkolny i Rada Hrabiowska w Londynie. Dostawcy byli zmuszeni pod karą 100 funtów szterlingów na zasadzie klauzuli o „fair wages“ do poddania się tym warunkom płacy i czasu roboczego, które praktykuje się w odnośnych stowarzyszeniach fachowych. W r. 1891 Izba gmin użycza wreszcie nowemu zwyczajowi swej sankcyi, a od tego czasu zarówno rząd, jak wszelkie instytucye autonomiczne zaczynają stosować przepisy o tak zwanej sprawiedliwej płacy roboczej.

W Belgii ruch na korzyść klauzuli o minimalnym zarobku datuje się od r. 1887. W r. 1896 dziewięć zarządów prowincyonalnych i 47 większych gmin miejskich wcieła do kontraktu dostawy warunek o przestrzeganiu minimalnego zarobku przez odnośnego przedsiebiorcę. Rząd belgijski przedsięwziął już również próby w tej mierze.

Niektóre stany holenderskie oznaczyły dla wszelkich robot publicznych zarobki, które dawałyby pracownikowi w całości dochód pokrywający koszty utrzymania. Jest to skala minimalna, której nie ma prawa przekroczyć żaden dostawca rządowy.

We Francyi gminy miejskie od 1891 r. usiłowały na własną rękę wprowadzić nową instytucyę prawną. Dopiero jednak trzy rozporządzenia rządowe z r. 1899 nadały jej podstawę przymusową. Za normę obowiązującą obrano zarobki, przyjęte w tej miejscowości, w której działa dane przedsiebiorstwo dostawy lub ma być wykonaną odnośna praca.

Szwajcarya wprawdzie nie poszła jeszcze szlakiem nowej reformy, ale za to przekształciła ją w sposób bardzo ciekawy, mianowicie rząd szwajcarski wtłoczył swe własne kontrakty najmu pracy w szranki ścisłych przepisów minimalnego zarobku. Dotyczy to oczywiście między innymi i zarządów gminnych w całej Szwajcaryi. Tu więc w przeciwieństwie do Anglii władza państwa, a co ważniejsza, niezliczone urzędy gminne, w bezpośredniem zetknięciu z pracownikiem ręcznym poddają się nakazowi humanitarnego słupa granicznego płacy minimalnej.

Podobną myśl z bardzo słusznym podkładem ekonomicznym napotykamy w Austryi. Mianowicie za treść płacy minimalnej przyjęto nie sumę pieniężną, lecz jej siłę kupczą. Tożsamość wynagrodzenia bowiem polega dla pracującego przedewszystkiem nie na określonej wysokości kwoty pieniężnej, ale na tej ilości środków spożywczych, które można nabyć za dany równoważnik zarobkowy w gotówce. Każda drożyzna zboża uprawnia w myśl przepisu rządowego do pobierania płacy podwyższonej w odpowiednim stopniu.

Najdalej posunął się na polu polityki zarobkowej kraj najbardziej postępowy pod względem reformatorsko-społecznym, a mianowicie... Nowa Zelandya. Tak np. rząd kolonii Wiktoryi ustanowił dla niektórych gałęzi przemysłu przytem dla wszelkich przedsiębiorstw danego rodzaju bez wyjątku taryfę zarobkową, która w porównaniu z dawniejszemi płacami stanowi zwyżkę o 25%. Co prawda, z przywileju tego korzystają tylko pracownicy rasy kaukaskiej. Przedsiebiorstwa zabezpieczyły się przeciwko stratom, mogącym wyniknąć z podniesionej płacy za pomocą t. z. Task-system, a zapewniającego pewną minimalną wydajność pracy, wykonywanej przez wyrobnika.

W Niemczech prąd „sprawiedliwego zarobku“ dotychczas nie uzyskał poparcia ani rządu, ani stronnictw politycznych. Za to torują tu sobie drogę zwyczaj normowania wynagrodzenia roboczego za pomocą t. zw. „wspólnot taryfowych“ Sam pomysł pochodzi z Anglii. Powstały tam mianowicie w swoim czasie związki, obejmujące zarówno stowarzyszenia zawodowe, jak zjednoczenia przedsiebiorcze. Powien wielki kartel, przypuśćmy, zawiera z trade-union'em umowę treści następującej: przyznaje mu pewne prawa i przywileje, zatwierdza pomyślne warunki pracy, ale za to tytułem wzajemności żąda od niego, aby członkowie jego pracowali tylko u przedsiebiorców należących do kartelu. Z chwilą gdy jakiś indywidualista łamie obręcz kartelu, pracownicy w myśl zawartej umowy opuszczają jego zakład. Podobny typ związku, jakkolwiek oparty na odmiennych zasadach ekonomiczno-społecznych, przedstawiają wspomniane wspólnoty taryfowe. Przedewszystkiem tkwi w urządzeniach tych znana zasada ekonomiczna, iż wszelkie czynniki, mogące wpłynąć na rezultat umowy i cenę pewnego towaru (np. siły roboczej), daleko słuszniej i wyraźniej ujawniają się, gdy w roli kontrahentów występują dwie wielkie grupy, niż wtedy, gdy pojedynczy członkowie obydwu obozów zawierają umowy na własną rękę. Jest to rzecz wiadoma, iż zrzeszenie wzmacnia położenie społeczne jednostki, a wskutek tego umowy zbiorowo mogą wydać rezultat względnie sprawiedliwszy, niż targ luzaków. Dalej tranzakcya w tym razie staje się prawdziwie dwustronną, miast, jak to często się zdarza, być warunkiem narzuconym dowolnie. Wybitny przykład zilustruje nam stan rzeczy: W początkach października ustalono taryfę zarobkową dla litografów. A więc związek litografow, obejmujący 98% wszystkich fachowców niemieckich oraz zjednoczenia pryncypałów, wyznaczyły komisyę, która po długich układach, przypominających targ, po rozważeniu szans konjunktury przemysłowej, kosztów utrzymania itd., uchwaliła zwyżkę płacy o 7½%, przyczem obydwie strony zobowiązały się na 5 lat przestrzegać ściśle taryfy. W r. 1896 podobne postanowienie wywołało wielki spór w prasie, a nawet odbiło się echem na łamach pism naukowych. Oczywiście komisya porozumiała się przy tej sposobności również co do innych spraw, tak iż wspólnota taryfowa, rozciągająca swą kompetencyę na całe państwo niemieckie, reguluje nietylko zarobek, ale oprócz tego inne kwestye doniosłe, że tu przytoczę chociażby fachowe wykazy pracy.

H. Przedmiejska.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Powstał projekt przejrzenia sprawy podatku mieszkaniowego i szpitalnego w celu ścisłego oznaczenia, które osoby winny mu podlegać.

Szkoły. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa zawiadamia, że szkoły handlowe średnie i wyższa rzemieślnicza w Łodzi zostały zaliczone do zakładów naukowych, których wychowańcy mają prawo wstępu do moskiewskiego instytutu rolniczego.

— W Równem otworzono 4-klasową szkołę muzyczną, w której wykładane będą: nauka gry na fortepianie, na skrzypcach i śpiew chóralny.

— Zwierzchność średnich zakładów naukowych otrzymała od ministeryum polecenie opracowania projektu i kosztorysu wycieczek botanicznych dla uczniów.

— Wszystkie okręgi naukowe otrzymały polecenie, ażeby w zakładach naukowych zwrócono uwagę na zaznajamianie uczniów z systemem metrycz-[illegible]

Z uniwersytetu. Wszystkie komisye, obradujące nad sprawą reformy w uniwersytetach, oświadczyły się za wprowadzeniem wyborów.

— Ministeryum oświaty podjęło sprawę utworzenia na wydziale prawnym, zamiast istniejącej obecnie jednej, dwóch katedr: prawa administracyjnego i polityki administracyjnej.

Żydzi w szkołach. Ministeryum oświaty, powołując się na skuteczność stosowanego dotychczas ograniczenia procentowego dla Żydów, uczących się w gimnazyach, progimnazyach i szkołach realnych, uznało za pożyteczne wprowadzić te same przepisy do szkół technicznych niższych i średnich, dodając, że w tych z istniejących szkół przemysłowych, w których obecnie liczba Żydów dosięga lub przewyższa ustanowioną normę procentową, należy, nie zawieszając zupełnie przyjmowania uczniów, zmniejszyć wymieniony wyżej stosunek procentowy w ten sposób, ażeby w ciągu kilku lat liczbę Żydów doprowadzić do właściwej normy.

Dla kobiet. Nowo otworzona w Krakowie „Szkoła sztuk pięknych i przemysłu artystycznego dla kobiet“ podzielona została na dwa oddziały: 1) Szkołę sztuk pięknych z przedmiotami wykładowymi rysunków, malarstwa wogóle i krajobrazów, tudzież wykładami teoretycznymi (anatomii, historyi sztuki i nauki o stylach) i 2) Szkołę sztuki stosowanej czyli przemysłu artystycznego, która obejmuje następujące przedmioty: inkrustacyę (z drzewa, blachy, konchy perłowej), witraż (nauka komponowania, cięcia szkła i malowania na szkle), litografię artystyczną (nauka technik litograficznych, rysowanie i malowanie wprost z natury na kamieniu litograficznym i drzeworyt), haft (nauka wszystkich technik haftu, komponowanie ornamentu haftowego i aplikacyi), emalię, malowanie na porcelanie, wyroby z blachy, wypalanie snycerskie (w drzewie i polerowanie), indyjskie malowanie materyi (t. zw. batiks, na portyery, zasłony, pokrycia mebli, wachlarze, parasolki itp.), wyrób papierów wzorzystych (na okładki i tapety). Nadto wykładaną będzie umiejętność malowania klejowego, komponowania szablonów, etykiet, afiszów, monogramów itp. Uczenice oddziału drugiego po za specyalnością swoją korzystać będą z nauki malarstwa i rysunku z natury, udzielanej na oddziale pierw-[illegible]

— W uniwersytecie królewieckim trzech profesorów (anatomii, chemii i fizyki) oświadczyło się przeciw studyom medycznym kobiet i nie dopuszczają ich na swoje wykłady.

Hakata. W Raciborzu odbył się wiec katolików-Niemców. Ks. dziekan Stanka z Hulczyna dowiódł, że hakatyści i wszechniemcy dążą nietylko do zniemczenia, lecz i do sprotestantyzowania wschodnich kresów Prus. Domagał się, by centrum popierało stale żądania polskie w parlamencie i zwalczało politykę antypolską rządu, pod warunkiem jednak, że skrajna prasa polska zaprzestanie walki z centrum.

— *Kuryer Poznański* donosi, że poczta tamtejsza odsyła wszystkie gazety warszawskie do biura tłomaczenia („Uebersetzungstelle“), skutkiem czego pisma te dochodzą do abonentów spóźnione o dni kilka.

Konkursy. Redakcya *Gońca Handlowego* ogłosiła konkurs na podręcznik dla Towarzystw wzajemnego kredytu, ułatwiający prowadzenie korespondencyi i manipulacyi wewnętrznej. Nagroda 250 rb i zysk ze sprzedaży książki. Termin 1 czerwca 1902 r.

— Tow. wzaj. pomocy prac. handlowych i przem ogłosiło konkurs na napisanie w języku polskim zasad korespondencyi handlowej z wzorami. W warunkach konkursu położono nacisk na zastosowanie wyrazów technicznych polskich, ze wskazaniem w nawiasie, przy mniej znanych, odpowiednich wyrażeń cudzoziemskich. Podręcznik, napisany językiem czystym i poprawnym stylowo, ma służyć do użytku szkół handlowych i obejmować około 35 arkuszy druku małej ósemki. Nagroda 400 rubli, przyczem prawa autora pracy nie będą w niczem ogra-[illegible]

Telefony. Według nowej taksy, która obowiązywać zacznie od d. 14 listopada r. b., abonament roczny telefonów w mieszkaniu prywatnem kosztować będzie 62 rb. 10 kop, aparat do użytku zbiorowego w klubach, instytucyach państwowych, społecznych i handlowych, oraz kantorach, agenturach i magazynach — 69 rb: aparat do użytku publicznego w hotelach, restauracyach, bankach, teatrach itp. — 89 rb 70 kop. Opłata obowiązuje w promieniu 3 wiorst od stacyi. Powyżej tej odległości pobierana będzie opłata dodatkowa po 3 rb. za każde 100 sążni przewodnika, licząc w odległości prostej. Aparat dodatkowy, ustawiony przy przewodniku abonenta w tem samem pomieszczeniu, kosztować będzie 30 rb., gdy ma być ustawiony w innem pomieszczeniu, koszt podnosi się o 3 rb. za każde 100 sążni przewodnika. Za dodanie do aparatu specyalnego dzwonka lub drugiego przyrządu słuchowego 3 rb. Jednorazowe przeniesienie aparatu w tymże lokalu — 6 rb., do innego lokalu — 12 rb., do innego gmachu tejże posesyi—18 rb., do innej posesyi—24 rb. Jednorazowe użycie telefonu na stacyi rozmów — 10 kop.

Zdrowie publiczne. W celu wzmocnienia w Warszawie nadzoru sanitarnego i polepszenia stanu zdrowotności, urząd lekarski podzielił miasto na 17 oddziałów i wyznaczył dla każdego z nich osobnego lekarza.

Zjazdy. D. 10 listopada, na zjeździe przedstawicieli kolejowych w Petersburgu, rozpatrywane będą następujące sprawy ważniejsze: o wynagrodzeniu właściciela bagażu w razie nieterminowej dostawy: o wyjaśnieniu, kto mianowicie, wysyłający czy też posiadacz duplikatu listu frachtowego, ma prawo do kwoty, osiągniętej ze sprzedaży nieodebranego transportu: o ustanowieniu wysokości normalnego

braku wagi transportów zbożowych, pochodzącego z rozsypywania się i schnięcia zboża na składzie; o odpowiedzialności kolei żelaznych za nieterminową dostawę transportów, przewożonych w pociągach osobowych; o zmianie istniejących przepisów, dotyczących powrotnego dostarczania towarów na stacyę, z której były wysłane; o sposobie określania charakterystycznych cech drzewa opałowego przy stosowaniu do transportów obowiązującej taryfy przewozowej.

— W styczniu r. p. odbędzie się w Petersburgu zjazd dyrektorów i przedstawicieli szkół handlowych. Na zjeździe będzie urządzona wystawa podręczników i różnych przyrządów naukowych, potrzebnych dla tych szkół, w celu zapoznania z nimi osób interesowanych i postanowienia, czy przy rządy te mogą być sprowadzane z zagranicy.

Rolnictwo. Niższa szkoła rolnicza dla Żydów, która powstaje w Częstoniewie, w pow. Grójeckim, mieć będzie kurs trzyletni; ostatni rok przeznaczony jest na zajęcia praktyczne. Zostawać będzie pod nadzorem ministeryum rolnictwa i oświaty, a istnieć bez zapomogi rządowej.

— Ministeryum rolnictwa postanowiło podzielić majątki skarbowe na mniejsze części, gdyż na istniejące obecnie wielkie obszary nie ma odpowiednich dzierżawców.

Koleje i komunikacye. Z rozporządzenia władzy wyższej nakazano powtórnie wszystkim ekspedytorom kolejowym, aby przy wydawaniu kwitów bagażowych daty były podwójne — nowego i starego stylu.

— Senat wyjaśnił, że koleje żelazne odpowiadają za uszkodzenie rzeczy podróżnych przez posługaczy kolejowych.

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa postanowiło rozwinąć w roku przyszłym na szeroką skalę eksploatacyę torfu w guberniach zachodnich, gdzie ludność uboga cierpi na brak opału taniego.

Zmarli. Liberat Zajączkowski, literat, we Lwowie. Redagował pismo humorystyczne *Szczutek*. Przez krótki czas wydawał dziennik polityczny p. t. *Kronika Codzienna*.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 18 Октября 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8